Łódź

Odgłosy

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Życzymy Państwu Wesołych Świąt!

NR 1684 ROK XXXIII GRUDZIEŃ 1990 R. CENA 1500 ZŁ

Jasełka polskie 1990 — str. 12 – 13

Rys. Dariusz Romanowicz

Czy w „Białym Domu" straszy

Zaklinanie deszczu

W społeczeństwach żyjących na niskim stopniu rozwoju cywilizacyjnego jedną z form świadomości zbiorowej była magia, czyli wiara w materialną, bezpośrednią skuteczność działań symbolicznych. Dawała ona pozór kontroli, na przykład nad zjawiskami naturalnymi, pozwalała wierzyć, że dzięki znajomości odpowiednich zaklęć i czynności określonych magicznym rytuałem można wpływać na realny świat, otaczający człowieka, z którym nie potrafił on sobie poradzić ani go zrozumieć.

Od pewnego czasu usiłujemy zmierzać do Europy, tej racjonalistycznej, wypełnionej komputerami, mikroprocesorowej, pełnej dóbr przez nas pożądanych i z zapałem Indian znad Orinoko lub nowozelandzkich Maorysów oddajemy się praktykom magicznym. Odżywają symboliczne działania z czasów Piasta Kołodzieja, wiara w ich skuteczność oraz przyzwalająca na magiczne praktyki opinia zbiorowa.

Oto na ulicach wiszą plakaty z portretami polityków, których nie akceptujemy, więc najprościej takiemu wizerunkowi symbolicznie wydłubać oczy albo gwiazdę Dawida domalować, aby przez to spotkało go wszystko co najgorsze. I któż powie, że to nie skutkuje — 25 listopada okazało się, że zabiegi magiczne, wzmacniane jeszcze specjalnymi zaklęciami, wywołały praktyczny skutek.

Wierzymy, że w pewnych miejscach, na przykład w niektórych budynkach, zwanych „białymi domami", pokutują złe moce, od których chcemy się uwolnić. Najskuteczniej jest okadzić albo poświęcić, a najlepiej jedno i drugie. W gazetach opiszą, w telewizji pochwalą. Komputer czy inna bankowa maszyna od wody święconej raczej nie zardzewieje, a komunistyczne uroki zginą i przepadną. To, że prezes PKO przy takiej okazji do mikrofonu nie wypowiada zaklęcia „tfu, na psa urok", wynika zapewne z braku psa pod ręką. I tak magicznie od morza do Tatr furczą kropidła i wyczarowują zupełnie nową rzeczywistość.

Ongiś magiczną formułą można było, tak przynajmniej twierdzą baśnie, zamienić człowieka w zwierzę, króla w żebraka, a ubogiego Kopciuszka w piękną królewnę. Trzeba było tylko znać stosowne zaklęcie. Dziś wystarczy uproszczone, na przykład „ty komuno" lub „ty nomenklaturo" aby z pozoru normalny człowiek, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, stawał się godnym pogardy i kopniaka wyrzutkiem. To działa czar magicznego zaklęcia — wystarczy tylko je wypowiedzieć. Od klanu, do którego należy szaman, zależy, czy wywołana magią metamorfoza kreuje małego człowieczka w męża opatrznościowego, czy też ostatecznie go unicestwia. Do wielkich, silnych czarowników gromadnie przyłączają się pomniejsi, aby uzyskać od nich namaszczenie, w które uwierzą wyznawcy.

Dobry czarownik przy pomocy praktyk magicznych mógł zatrzymać, a nawet cofnąć czas. Współcześni wielbiciele przeszłości nie chcą być gorsi od dawnych szamanów — magią wywołują pożądane przez nich skutki: wystarczy na przykład pozmieniać nazwy ulic i placów i wszystko będzie jak „przed wojną". Do magicznego rytuału zwykle należy rozbudowana fraza zaklęć, którymi trzeba zniszczyć niepożądany stan obecny (formuły takich zaklęć można znaleźć na pierwszych stronach większości gazet — wszak mamy demokrację i każdy może być na swój użytek czarownikiem), a następnie wypowiedzieć „niech się stanie" lub przynajmniej przegłosować w Radzie Miejskiej i już jest to, o co chodzi zaklinaczowi.

Wystarczy powiesić tabliczki z nowymi nazwami i ulicą 6 Sierpnia jadą szwoleżerowie, na byłej ulicy Róży Luksemburg pojawia się leśny oddział „Ognia", a na dawnym placu 9 Maja (fatalny był maj owego roku — do pokonanego Berlina weszliśmy w zdecydowanie złym towarzystwie) musztrują się kompanie 28 Pułku Strzelców Kaniowskich. Bywa że czarownik czegoś nie dopatrzy albo zmyli zaklęcie i oto wśród bohaterskich lub świątobliwych patronów ulic, którzy zapewne swą siłą ducha i doskonałością obdarzą ich mieszkańców, pojawi się ni stąd, ni zowąd satanista Stanisław Przybyszewski, o zdecydowanie mało pedagogicznej biografii jak na patrona ulicy.

Gdy doskwierała susza, gdy marniały rośliny i padały zwierzęta, wzywano zaklinacza deszczu, który rozpoczynał swój taniec i wzywał niebiosa, aby zesłały życiodajną wilgoć. Jeśli jego zaklęcia nie przynosiły skutku, a słońce nie przestawało palić, wzywano innego zaklinacza, a potem jeszcze innego. Dookoła nich stał tłum zagrożony suszą i wierzył, że zabiegami magicznymi można zmienić świat. Kiedyś zresztą deszcz przychodził i umacniał wiarę w skuteczność magii.

Zmieniali się na przestrzeni wieków czarownicy i szamani, ale pozostawała wiara w magię, w zaklęcia, w skuteczność postępowania że jeżeli o czymś się głośno i stale mówi, to staje się to realnym faktem, a jeżeli o czymś się milczy, to tego po prostu nie ma. Wiara w czarodziejską moc grubej krechy, nowej nazwy, magicznego przyspieszenia lub przewietrzenia, które spowodują nową, upragnioną rzeczywistość.

Zmieniają się zaklinacze, ale pozostaje rytuał zaklinania deszczu, zaklinania naszych myśli, zaklinania przeszłości i przyszłości. Wiara w tych, którzy obiecują deszcz, a potem przed nami tańczą i wzywają dżdżu. Gdy okazują się nieskuteczni, wypędzamy ich, ciskamy za nimi kamieniami i przekleństwami, bowiem zawiedli naszą wiarę. A potem przychodzi kolejny zaklinacz i rytuał rozpoczyna się od nowa.

Europa będzie nas podziwiać jako niezwykle cenne i oryginalne relikty najwcześniejszych, najdawniejszych form ludzkiej świadomości, ludzkiej kultury. Po magicznych zabiegach łowców sprzed tysięcy lat pozostały malowidła w grotach Altamiry, my z naszą magią codzienną w życiu publicznym i prywatnym jesteśmy ważnym, choć zapewne niegdysiejszym ogniwem kulturowego rozwoju gatunku ludzkiego. Zabytkiem, który powinien podlegać ochronie. Tylko jak zmieścić ponad 30 milionów ludzi oddających się magii w muzealnej gablocie lub w skansenie? Należy, moim zdaniem, utworzyć rezerwat, albo jeszcze lepiej Polski Park Narodowy. Nie trzeba będzie dołączać do Europy, to Europa przyjedzie do nas, aby nas podziwiać. A na magiczny seans zaklinania deszczu jeszcze może wykupi bilety.

JAN WOLBORSKI

Jednak jesteśmy...

Do naszych Czytelników

Sześć specjalnych numerów „Odgłosów" wydanych od czerwca przez naszą Dziennikarską Spółdzielnię Pracy to doprawdy niewiele, a jednak ważą w naszym redakcyjnym doświadczeniu. Bez wsparcia finansowego z zewnątrz, siłami odrodzonego zespołu, borykając się z utrudnieniami administracyjnymi próbujemy kontynuować wydawanie czasopisma, które obrosło złą i dobrą tradycją, lecz mimo wielu przeciwności przetrwało na rynku czytelniczym Łodzi 33 lata.

Dziś ponownie ważą się jego losy: wystawione na sprzedaż przez likwidatora RSW, „Odgłosy" zapoczątkują drogę, jaką pójdzie większość prasy spod znaku przemożnego do niedawna koncernu. Przystępując do przetargu, nie czujemy się wszakże jego spadkobiercami. Wielu z nas łączył z tym koncernem stosunek pracy, ale w żadnym razie więź ideowa. „Odgłosy", które już wcześniej wybiły się na niezależność myślową, stają dziś przed szansą także suwerenności administracyjnej, bo ekonomiczną osiągnęły w ciągu minionych sześciu miesięcy działania na własny rachunek.

Trzymajcie za nas kciuki, Drodzy Czytelnicy, abyśmy w tym przetargu zostali zwycięzcami. Pozwoli nam to zakończyć etap heroiczny w naszej dziennikarskiej pracy i rozpocząć normalną działalność wydawniczą: od 15 stycznia 1991 r. staniemy się dwutygodnikiem i od tej chwili będziemy docierać do was regularnie, w zwiększonym nakładzie i objętości.

Wierzymy, że z tej próby wyjdziemy nie pokonani obiecując ze swej strony atrakcyjniejszą niż do tej pory porcję materiałów do czytania, lepszy warsztat dziennikarski, odwagę w podejmowaniu tematów. Chcemy być we wszystkich swoich poczynaniach w pełni suwerenni, rezygnując jednak z góry z jednego rodzaju niezależności: niezależności od Czytelnika. Bowiem pojmujemy swój zawód jako obywatelską służbę, wymagającą ofiar, poświęcenia i odwagi cywilnej. Są to cnoty bardzo pożądane w czasach przebudowy Polski od podstaw.

Jesteśmy! Ale też i będziemy, jeśli zagłosujecie na nas w kioskach. Wasze przywiązanie do „Odgłosów" przyniesie korzyść obu stronom.

P.S. Mimo zapowiedzi w listopadowych „Odgłosach", że grudniowy, świąteczny numer wydamy w podwójnej objętości, naszą obietnicę udało nam się spełnić tylko połowicznie — przerastało to techniczne możliwości łódzkich Prasowych Zakładów Graficznych.

KONRAD FREJDLICH

Andrzej Gębarowski — redaktor numeru, Janusz Kozłowski — redaktor techniczny, Grażyna Olechnowicz — sekretarz redakcji, Dariusz Romanowicz — grafik.
Adres redakcji: 90-113 Łódź, ul. H. Sienkiewicza 3/5 tel. 36-52-44, Fax — 36-71-87
Wydawca: Dziennikarska Spółdzielnia Pracy „Odgłosy" na podstawie umowy z Łódzkim Wydawnictwem Prasowym RSW „Prasa-Książka-Ruch".
Druk: Prasowe Zakłady Graficzne.

UGODA

Pani Beata Będzińska oświadcza, że nie ponosi odpowiedzialności za treść sformułowań zawartych w artykule Pawła Tomaszewskiego opublikowanym w „Odgłosach" nr 48 z dnia 26 listopada 1989 r. pt. „Strach".
W tej sytuacji Pani Krystyna Sicińska Lalmi i Pan Stanisław Suliborski odwołują zarzuty zawarte w ich liście umieszczonym pt. „Strach czy nieuczciwość"? — opublikowanym w nr 51 tygodnika „Odgłosy" z dnia 17 grudnia 1989 r. i z tego tytułu przepraszają Panią Beatę Będzińską.

Czy Lech potrafi zszyć to, co porozpruwał.

„Obu nam zabrakło wyobraźni"

Rozmowa z PIOTREM NOWINA-KONOPKĄ, byłym rzecznikiem prasowym Lecha Wałęsy i byłym ministrem stanu w Urzędzie Prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego.

Był pan związany z Lechem Wałęsą od listopada 1982 r. Jeszcze w październiku 1989 roku pełnił pan funkcję jego rzecznika prasowego. Wówczas też wypowiedział się pan dla tygodnika „Wprost", że programowo nie różnicie się z Wałęsą poglądami: „stanowimy nieco nietypowy duet (...) dotarliśmy się przez te lata (...) łatwo się rozumiemy (...) mamy po prostu jednakową wyobraźnię polityczną". Komu dzisiaj — dwa dni po pańskiej dymisji i opowiedzeniu się za Mazowieckim w kampanii prezydenckiej oraz dwa dni przed I turą wyborów — zabrakło wyobraźni?

— Rok temu wyobraźnia polityczna obejmowała eksperyment, który podejmowaliśmy w Polsce, słabo zakotwiczony w nadziei, że w szybkim tempie uda się przywrócić mechanizmy demokratyczne i sensowną rzeczywistość gospodarczą. Po roku okazuje się, że te zmiany zaszły znacznie dalej, aniżeli można było sobie wtedy wyobrazić. W tym sensie obu nam zabrakło wyobraźni. Lech Wałęsa również to przyznaje mówiąc, że zostały popełnione błędy.

Przez ten rok powstała między nami zasadnicza różnica sposobu widzenia Polski i demokracji. Kiedy Lech Wałęsa uznał, że będzie tworzył pewien parasol polityczny nad reformami gospodarczymi, to było to założenie bardzo słuszne. Jak długo ten parasol istniał, tak długo reformy nie napotykały na zahamowania. Rosło zdumienie świata nad tym, jak to jest możliwe, że polityka rządu — wymagająca, ciągle żądająca wyrzeczeń od społeczeństwa, jest tak dalece akceptowana. Potem stało się coś, czego nie potrafiłem sobie wytłumaczyć. Rozmawiałem z Lechem wielokrotnie i nie uzyskałem odpowiedzi, na czym ma polegać filozofia walki wszystkich ze wszystkimi, filozofia generowania pluralizmu, który sam z siebie nie chce się urodzić. Bo gdybyśmy żyli w państwie skrystalizowanych reguł ekonomicznych i konstytucyjnych, wówczas przy braku naturalnej tendencji do tworzenia się partii politycznych należałoby jakoś ten proces wesprzeć. Ale robienie tego, kiedy los Polski wciąż wisi na cienkim włosie, kiedy stoimy przed szansą, której nie mieliśmy przez kilkaset lat, szansą jedności społeczeństwa?! Nie mówię o jedności w sensie bolszewickiego sposobu na życie w gierkowskiej Polsce. Myślę o generalnym przyzwoleniu na to, żeby demokratycznie wybrany rząd mógł zrealizować program, który tak szybko zaczął przynosić efekty.

I tu jest kolejne moje niezrozumienie z Lechem: czemu miało służyć zdezawuowanie tego, co osiągnęliśmy wspólnie przez ostatni rok? Czemu miała służyć teza, że plan Balcerowicza wpędza kraj w kolejny kryzys, ściąga na niego nieszczęście? Przecież Lech wycofuje się z tego, twierdzi, że zaakceptuje Balcerowicza z korektami. Ale to nie jest to samo: zaakceptować z korektami i odrzucić an bloc program gospodarczy, który stanowi szansę.

Wszystko to nie byłoby warte emocji, gdyby nie destrukcja związana z przyśpieszoną kampanią prezydencką, wywołaniem przez Lecha demona populizmu, co spowodowało, że runął parasol, o którym wspomniałem. Zniszczenie poparcia społecznego, którym ten rząd się legitymował i na który, w zgodnej opinii obserwatorów, zasłużył on jakąś winą.

I jeszcze jedna refleksja, przez pryzmat moralnego widzenia sprawy: przez cały stan wojenny i potem uważałem, że siłą „S" jest walka bez przemocy. Budzę się rano ze słowami papieża w uszach: walka nie może iść przed solidarnością. Nagle straciliśmy orientację, ta kampania wyborcza stała się okazją do wznieconia walki, do podzielenia „Solidarności" i ja dla tego nie znajduję wytłumaczenia. Nie znajduję też wytłumaczenia dla teorii Lecha, że walka wyzwoli dobre moce w społeczeństwie. Ona wyzwala tylko złe. Obawiam się, że Lech będzie miał ogromną trudność w zszyciu tego, co porozpruwał.

— Przyznam, że wciąż nie rozumiem pańskiej wolty, po siedmioletniej fascynacji Wałęsą, porównywaniu jego roli do roli marszałka Piłsudskiego, przekonaniu, że jest on obdarzony wyobraźnią, której nie staje większości z nas. Mówił pan, że wielkie indywidualności nie mają nadmiernie rozwiniętego zmysłu demokracji w stosunkach międzyludzkich. Często sami wyznaczają strategię działania, ale sądził pan, że Lech Wałęsa zyskał sobie prawo do tego.

Foto: CAF — Janusz Uklejewski

— Kiedy to mówiłem, miałem silnie zakodowane w pamięci zwłaszcza dwie sytuacje w których Lech podejmował niepopularne decyzje. Pierwsza dotyczyła zakończenia strajku majowego w Stoczni Gdańskiej w 1988 roku. Wtedy rzeczywiście mieliśmy jednakową wyobraźnię polityczną, uważałem, że Wałęsa ma siódmy zmysł, który ja też odczuwałem. Wszyscy płakali jak bobry, ale miałem pewność, że ten przegrany strajk jest wygraną całej wojny o Polskę.

Druga sytuacja wyniknęła pod koniec Okrągłego Stołu. Należało podjąć decyzję, czy godzimy się na tę umowę, ze wszystkimi wątpliwościami: legalizacja czy relegalizacja „S", kontraktowe wybory parlamentarne, prezydent, itd. Decyzja podpisania tej umowy była i wciąż bywa kwestionowana. Kwestionowano, czy w ogóle warto z bolszewikami rozmawiać. Ilu jest takich, którzy znajdą dziś real..e argumenty, że nie warto było? Bo ja wiem, że żyjemy w innym kraju, gdzie ludzie mają paszporty, gdzie nie stoją w ogonach, choć życie jest droższe, gdzie czytają prasę i książki jakie chcą, mogą podejmować nielicencjonowaną działalność gospodarczą. I nikt im tego nie może odebrać.

— Czy pańskim zdaniem skończyła się już polityczna rola Wałęsy? Za dwa dni może się okazać, że zostanie prezydentem.

— Często mówiłem, że Lech Wałęsa jest potrzebny temu krajowi, jako pas ratunkowy. Mam podstawy, żeby tę tezę podtrzymywać. Ale rola pasa ratunkowego jest szczególna. Należy go szanować, gdyż może nam uratować życie. Wałęsa na pewno uratował kraj od wielu nieszczęść, co więcej, otworzył Polsce drzwi do wolności. I nie ma przesady w amerykańskim sformułowaniu, że „Lech Wałęsa jest pochodnią wolności, oświecającą przyszłość dla Europy, świata". Ale uważałem, że jako ten pas ratunkowy nie powinien zostać przybrudzony, nadszarpnięty. A stało się tak i żałuję, że w jakimś stopniu sam tego dokonał, nie uszanował siebie, że nagle zapragnął być kapitanem statku. A kapitan spełnia inną rolę, niż pas ratunkowy.

I tu nie chodzi o to, że Wałęsa jest robotnikiem, a Mazowiecki intelektualistą. Lech Wałęsa ma wymiar, który predestynuje go do czegoś więcej aniżeli prezydent. Bywają w świecie ludzie, którzy nie zajmując żadnego stanowiska państwowego są punktem odwołania. Uważałem, że Lech potrafi sprostać tej roli. Ale żeby ją przyjąć, trzeba uznać strukturę państwa, uznać prawo premiera i instytucji do szacunku dla siebie. Tych reguł trzeba przestrzegać, bo nie jest to kwestia dobrego wychowania, lecz pragmatyzmu.

Po drugie: prezydent to funkcja najwyższego urzędnika państwowego. Czy przywódca tego kalibru, co Lech Wałęsa, powinien mieć ambicje zostania urzędnikiem tego szczebla? Czy jest pewien, że zmieści się w garniturze, który często bywa kaftanem krępującym ruchy? On może wiele powiedzieć dzisiaj ale jako prezydent będzie miał skrępowane usta. I nie da się od tego uciec deklaracją, że będzie niekonwencjonalnym prezydentem, bo to może oznaczać, że będziemy mieli niekonwencjonalną demokrację. Jeśli chcemy zbudować demokrację sprawdzoną w innych krajach, bez przymiotników, to i prezydent musi być bez przymiotników, zwłaszcza zaś nie może być promotorem podziałów społecznych.

Wałęsa chce być blisko ludzi, mieć bezpośredni wpływ na bieżącą sytuację w kraju. Jest taka posada. Widziałbym Lecha w charakterze premiera. Wprawdzie pracy administracyjnej on nie lubi, ale mógłby się otoczyć ludźmi, którzy by to za niego robili. A miałby bezpośredni kontakt ze wszystkimi resortami. Musiałby się jednak pogodzić z tym, że codziennie trzeba żmudnie studiować rap rty. Gdyby się z tym pogodził, pełniłby funkcję, która rzeczywiście odpowiada jego programowi, ale równocześnie jasno określa jego odpowiedzialność. Nie chciałbym, żeby Lech Wałęsa był prezydentem, który nie ponosi odpowiedzialności. Bo jeżeli on sobie wyobraża premiera, jako zderzak do samochodu, który się wymienia przy każdej stłuczce, a sam zamierza kierować samochodem, to ja nie chcę siedzieć w takim samochodzie. Boję się, że poza zderzakami rozleci się cała karoseria.

— Drugą postacią polskiej sceny politycznej, z którą los pana związał, jest Wojciech Jaruzelski. Jak doszło do tego, że pan — człowiek „Solidarności" znalazł się w belwederskiej ekipie generała?

— Po powołaniu Mazowieckiego na premiera przez Sejm prezydent zwrócił się do niego o wskazanie kandydatów na stanowisko ministra stanu z ramienia „Solidarności". Już pr... ...ym Stole koncepcja ministrów stanu była przez nas postrzegana z dużą p...rzliwością, gdyż została wysunięta przez drugą stronę. Istniała obawa, że zbyt dość, iż funkcja prezydencka będzie sposobem na kontrolowanie ciągłości ustrojowej, to stworzony zostanie jeszcze przy prezydencie jakby „superrząd".

Zapewne powodowany i tą obawą premier nie od razu odpowiedział Jaruzelskiemu, który skierował gesty również do Kościoła, oczekując że ... się w tej sprawie.

DOKOŃCZENIE NA STR. 17

Rok na przetrwanie?

ANDRZEJ GĘBAROWSKI

„Cały czas podkreślam, że jest to dla miasta rok na przetrwanie. Zmiany na lepsze nadejdą wraz z ożywieniem gospodarczym w całym kraju. Nie mamy raczej szans na wyprzedzenie tego procesu w Łodzi" — powiedział „Odgłosom" ówczesny prezydent Łodzi, Waldemar Bohdanowicz. Było to w marcu 1990 roku, w piątym miesiącu niekomunistycznej władzy w naszym mieście. Czy rzeczywiście był to wyłącznie „rok na przetrwanie"? Dla miasta — z pewnością tak. A dla społeczeństwa Łodzi? Bezrobotni będą go pamiętać jako początek okresu swej degradacji. Nowi właściciele — jako początek gospodarowania na własnym. Inaczej będą go widzieć stronnicy Wałęsy, a całkiem inaczej — stronnicy Mazowieckiego. Nie ma już jednakowej dla większości optyki, na to samo pytanie różne dziś padają odpowiedzi, w zależności od sytuacji osobistej indagowanego. Tym bardziej różnią się one od siebie, im bliżej końca Anno Domini 1990. Oto znak czasu!

Przeglądając łódzką prasę z początku mijającego roku widać, jak wiele szczegółów zwykłej codzienności umyka reporterom, skupiającym się przeważnie na sprawach niecodziennych. Najtrudniej więc teraz odtworzyć to, co dla ówczesnych było oczywiste: na przykład — puste we raczej sklepy. Ściślej biorąc, pustkę na ladach jeszcze pamiętamy, ale już znacznie gorzej z dokładnym określeniem tego, co nas wówczas tak bardzo fascynowało: jaki rodzaj towaru, produktu zjawił się w sklepach na stałe, bez dłuższych przerw w dostawach. Naiwnie wyobrażaliśmy sobie, że gdy zagości już w sklepach wszelka obfitość, kryzys będzie daleko za nami. Czyż większość z nas nie byłaby zdziwiona, gdyby nam wówczas powiedziano, że nie wystarczy zlikwidować kolejek i zapełnić mięsne sklepy, aby uczynić nas szczęśliwszymi; że wolność i demokracja plus obfitość towarów nie oznaczają jeszcze wcale pomyślności? Trzeba było roku, abyśmy się o tym przekonali...

Trzeba było roku, aby przekonać się, że to, co wydawało się z początku kłótnią w łódzkiej rodzinie „Solidarności", stanie się trwałym podziałem, zbudowanym na gruzach etosu solidarnościowej opozycji. Ci, którzy byli ze sobą skłóceni, nie zdołali się w ciągu tego roku pogodzić. Nie zdołali się nawet porozumieć.

Z jednym wyjątkiem.

Warto przypomnieć, że w styczniu 1990 roku, gdy Andrzej Słowik został ponownie (po dziewięcioletniej przerwie) wybrany przewodniczącym łódzkiej „Solidarności", był on człowiekiem dość odległym od tego, co nazywano wówczas „linią Wałęsy". Pierwszą od długiego czasu rozmowę odbyli obaj panowie na krótko przed wyborami związkowymi w Łodzi. Na Walnym Zgromadzeniu Delegatów pokazywano sobie wtedy ich wspólne fotografie — jako osobliwość, jak dużą sensację! Po roku takie zdjęcia nie stanowią już dla nikogo sensacji, ale to nie Słowik się zmienił — to Wałęsa wybrał sobie inny obóz polityczny. A Słowik, w czasie ubiegłorocznej, pamiętnej wizyty Lecha w Łodzi określony przez niego jako outsider, stał się dziś najważniejszym kandydatem na następcę przewodniczącego „Solidarności"!

Wspomniałem, że już przed rokiem Łódź była miastem skłóconym. Prorokowano, że wyprzedza ona skłócenie się całego kraju. Proroctwo, niestety, okazało się prawdziwe, tak jak słuszne było przypuszczenie, że wkrótce rozpocznie się generalny szturm centroprawicy na struktury władzy, co również zapoczątkowane zostało w Łodzi. W naszym mieście „lewicowy" (jak chcą jego adwersarze), czy też „europejski" (jak wolą sądzić jego zwolennicy) nurt „Solidarności" zepchnięty został dość wcześnie do defensywy. Stało się tak od czasu wyborów samorządowych w maju. Przypomnę, iż nie udały się próby zjednoczenia się we wspólnym, solidarnościowym froncie. Do wyborów poszli więc skłóceni: ci z Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego (a więc przedstawiciele różnych partii i ugrupowań, zbyt drobnych, by startować samodzielnie) i ci z Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego (działacze „Solidarności" o orientacji bardziej socjaldemokratycznej niż prawicowej, którzy organizowali zwycięskie wybory parlamentarne w czerwcu 1989 roku).

Wygrali pierwsi. W 80-osobowej Radzie Miejskiej znalazło się 37 radnych z ŁPO, w tym 14 radnych ze Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego i 12 z Konfederacji Polski Niepodległej. Są to najsilniejsze obecnie partie w Łodzi. WKO „wygrał" jedynie 24 mandaty. Porażka to dotkliwa, ale i trudno było mówić o triumfie centroprawicy — jakiż może być triumf przy 65-procentowej absencji wyborczej, jednej z najwyższych w kraju! A te niecałe 35 procent, które pofatygowało się do lokali wyborczych, to — uprzytomnijmy sobie — zaledwie 300 tysięcy mieszkańców naszej ponadmilionowej aglomeracji!

Pod koniec roku dowiedzieliśmy się, że „najsilniejsza" w Łodzi partia, czyli ZChN, raptem liczy sobie w regionie 267 członków łódzka „Solidarność", wielosettysięczna przed stanem wojennym, skupia obecnie 80 tys. pracowników; przeciętnie należy do „S" jedna czwarta załogi. Społeczeństwo nadal więc odmawia czynnego uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym, a skutki tego groźnego zjawiska okażą się widoczne w listopadzie, gdy przyjedzie z Peru Stan Tymiński...

Na razie mamy dopiero czerwiec. Zwycięzcy, po krótkim okresie sporów co do „filozofii" swych rządów, pod naciskiem liderów ZChN idą na całość. Najdobitniej ujął to Grzegorz Palka, przyszły prezydent Łodzi, a ówczesny wiceprezydent:

„— Należy odejść od lewicowej logiki tworzenia jedności za wszelką cenę. ŁPO bierze na siebie pełną odpowiedzialność za to wszystko, co będzie się działo w Łodzi w najbliższym czasie. Taka sytuacja jest bowiem bardzo zdrowa. Ugrupowania, które nie będą kształtować w najbliższym czasie sytuacji w naszym mieście powinny pełnić rolę „kontrolerów", przygotowywać „gabinet cieni" i swoim potencjałem intelektualnym wzbogacać działalność Rady".

Radni WKO odpowiedzieli na to oświadczeniem, w którym wyłożyli swe credo: *„Nam (...) przyświeca filozofia samorządu, a nie filozofia przejęcia władzy".* Będąc w mniejszości, zredukowani w scenariuszu zwycięzców do roli widzów, wprowadzili obyczaj „głosowania" nogami. Pierwszą okazją do protestacyjnego opuszczenia sali było omawianie sprawy „Dziennika Łódzkiego". Sprawa ta ciągnie się nadal, końca jej (pod koniec roku) nie widać, warto przeto poświęcić jej nieco uwagi.

„Dziennik Łódzki" mający na początku roku opinię najbardziej poczytnej i dochodowej z łódzkich gazet, stał się łakomym kąskiem dla potencjalnych dysponentów, wyciągających rękę po majątek bez właściciela w nadziei, że zdobędą go tanim kosztem, a najlepiej — za darmo. Miały taką nadzieję i nowe władze miasta, narzekające, iż zmiana ideowego oblicza władzy nie znajduje dostatecznego odzwierciedlenia w treści wydawanych gazet, opanowanych w większości przez „lewicę". W planach tych „DŁ" pełnić miał funkcję organu Rady Miejskiej. Nie udało się ich jak dotąd zrealizować: są im niechętni przedstawiciele Komisji Likwidacyjnej RSW, zespół samego „DŁ" (choć w dużej części zmieniony, w tej akurat kwestii zgodny), a także wszyscy przeciwnicy polityczni obecnych władz miasta.

Najbardziej interesujące było wszakże to, że i „obóz ŁPO", z początku prawie jednolity, ujawnił przy omawianiu problemu „DŁ" wewnętrzne różnice stanowisk. Pojawiły się nawet ostre wzajemne zarzuty: ich apogeum przypadło na okres po 11 września, gdy na posiedzeniu ŁPO nie przeszedł projekt uchwały ZChN, aby Rada Miejska powróciła do sprawy „DŁ". Do zatwierdzenia projektu potrzebne było 14 głosów. Zabrakło jednego, ponieważ niektórzy działacze ŁPO uznali, iż planuje się w ten sposób zamach na niezależność prasy! Wszystko to zdaje się zapowiadać dalsze podziały ŁPO — w przyszłym roku.

Artyści udowodnili że nawet w Łodzi można się nieco oderwać od ziemi... jeśli jest się artystą.

Fot. G. Gałasiński

17 listopada odwiedził nasze miasto premier Tadeusz Mazowiecki. Studenci ofiarowali mu krzesło, przeznaczone dla prezydenta RP. Czy premier przekaże je teraz Lechowi Wałęsie?

Fot. G. Michałowski

Niejako na marginesie sprawy „DŁ" wypłynęły głośne potem zarzuty wobec likwidatora RSW i jego otoczenia. Poseł Stefan Niesiołowski zarzucił dr Jerzemu Drygalskiemu, iż ten — będąc udziałowcem spółki wydawniczej „Edytor" — próbuje forsować korzystne dla siebie decyzje co do „przydziału" poszczególnych tytułów prasowych. Zarzut spotkał się z energicznym zaprzeczeniem i obszernymi wyjaśnieniami, zaś oskarżający został pozwany do sądu. Sprawy jeszcze nie rozstrzygnięto, lecz pozew jest poważny: obwinia S. Niesiołowskiego m.in. o to, że rozpętując kampanię oszczerstw, spowodował opóźnienie procesu likwidacyjnego RSW w całym kraju...

Skoro już o pośle Niesiołowskim mowa: był on z pewnością najbardziej aktywnym z łódzkich parlamentariuszy. Szeroko znanym stał się także poseł Andrzej Kern; obaj działali zresztą wespół, mając podobne zapatrywania polityczne. Wyróżnili się również łódzcy senatorowie. Cezary Józefiak i Jerzy Dietl, ideowo dość odlegli od poprzedniej dwójki, podobnie jak posłanka Maria Dmochowska. O innych łodzianach w Parlamencie słychać było znacznie mniej, o niektórych — zgoła wcale.

Przez cały rok trwały w Łodzi postkomunistyczne remanenty. W styczniu i w lutym nasiliło się tropienie „nomenklatury", zwłaszcza w spółdzielniach. Skończyło się na rozczłonkowaniu niektórych spółdzielczych molochów a stare kłopoty i tak pozostały. W marcu, po 3-miesięcznej kontroli, inspektorzy NIK opuścili Szpital-Pomnik i gruchnęła wieść, że coś tam jednak znaleźli (mianowicie: niegospodarność i podejrzane transakcje). Nie ma na razie dowodów, iżby rozkradziono część darów z zagranicy. W lipcu zakończyła prace komisja kwalifikacyjna funkcjonariuszy byłej SB. Ocenie poddano 354 osoby. 30 uzyskało opinię negatywną. Tylko 30, ale — podkreślano — „SB w Łodzi oczyszczało się już od roku". W sierpniu przestał istnieć WUSW; na jego miejsce powołano Wojewódzką Komendę Policji. W sierpniu w dawnym Komitecie Łódzkim rozgościły się sądy.

Przez cały ten czas w łódzkich zakładach przemysłowych zmniejszała się produkcja, a wzrastało bezrobocie.

Jak należało oczekiwać, spadek produkcji w Łodzi okazał się większy niż średnio w kraju. Po pierwszych trzech kwartałach dokonano podsumowania: wartość produkcji sprzedanej spadła o 38 proc. (w stosunku do analog. okresu w ub. roku), zaś w przemyśle lekkim — aż o 47 procent! Mniejsza niż średnio w kraju była także dynamika wzrostu płac. Innymi słowy — pogłębił się dystans dzielący Łódź od innych przemysłowych ośrodków kraju. Przyczyny: załamanie się zbytu wewnątrz kraju, utrata rynków na Wschodzie, co dotknęło zwłaszcza przemysł lekki, restrykcyjny system podatkowy. Głęboka recesja łódzkiego przemysłu uderzyła rykoszetem w budżet miasta, zmniejszając wpływy z podatków. W październiku mówiło się już o 300 mld zł deficytu, który powiększał się z każdym tygodniem.

Napięcia, spowodowane pustką w kasie miejskiej, nałożyły się pod koniec roku na emocje, wzniecone przez kampanię prezydencką. Prologiem do tej kampanii było powołanie w lipcu oddziałów Porozumienia Centrum i ROAD, które rozpoczęły leniwą początkowo, lecz nasilającą się z każdym miesiącem akcję propagandową na rzecz swoich kandydatów. Na murach pojawiły się tysiące plakatów; podobiznę zawieszoną wczoraj zaklejano dziś obliczem kontrkandydata, które jutro przesłaniane było następnym zdjęciem... Ta „wojna" przybrała także groźniejsze formy. Znów, jak w pamiętnym 1968 roku wypisywano na murach hasła, świadczące o antysemityzmie. Czy rzeczywiście był to margines?

W listopadzie zaszczycili Łódź swą obecnością dwaj główni (tak myślano przed I turą kandydaci do Urzędu Prezydenta: najpierw Lech Wałęsa, a w tydzień później Tadeusz Mazowiecki. Najkrócej można o tych wizytach powiedzieć, że obaj pretendenci przyjmowani byli serdecznie, ale przez różne elektoraty. W Hali Sportowej przeważali robotnicy, a na spotkanie z premierem przyszło najwięcej inteligentów.

Wizyta premiera ujawniła głęboki konflikt, dzielący środowiska polityczne w mieście. Poszło tym razem o uchwałę Rady Miejskiej, przyjętą większością głosów w przeddzień wizyty premiera. Uchwała ta obciążyła rząd RP za obecny kryzys finansowy Łodzi. Zdaniem radnych z ŁPO, była ona podyktowana wyłącznie troską o potrzeby miasta; w opinii radnych WKO była to manifestacja wrogości wobec rządu, objawiona na potrzeby kampanii wyborczej Lecha Wałęsy. Przy okazji okazało się, że również polityka gospodarcza magistratu ma ostrych krytyków. Senator Jerzy Dietl oskarżył na przykład władze miasta o to, iż zmarnowały szansę, jaką była propozycja firmy Levi Strauss, aby zorganizować tutaj dużą fabrykę. Zamiast w Łodzi, zachodni biznesmeni zbudują ją w Płocku.

Przyznać trzeba że jak dotąd nie miało nasze miasta szczęścia do ofert z Zachodu. Pomimo iż przedstawiciele władz miasta często podróżowali po Europie i Ameryce (przecież nie w turystycznym celu?) zaledwie dwa przedsięwzięcia wyszły poza sferę wstępnych projektów: pomoc Francuzów w dokończeniu Grupowej Oczyszczalni Ścieków oraz udział Włochów w zagospodarowaniu nowego wysypiska.

Jeżeli to ostatnie przedsięwzięcie się uda, zniknie jeden z największych problemów miasta, który spędzał sen z oczu niejednemu urzędnikowi magistratu. Inne, nie mniej naglące problemy — pozostaną.

Kasa miejska pozostanie pusta, jeżeli nie zmieni się sposób finansowania miasta, jeżeli nie ożywi się łódzki przemysł. Przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, takie jak MPK, będą jeszcze gorzej funkcjonować, ratując się starymi tramwajami z Niemiec. Jeszcze bardziej wzrośnie bezrobocie, które do końca roku dojść ma do 60 tys. osób pozbawionych pracy, a na wiosnę wzrosnąć może do 100 tysięcy.

Czy rozwijający się wybuchowo handel, swobodny obieg waluty w licznych kantorach, a także jeden duży sprywatyzowany zakład w Łodzi („Próchnik") okażą się jaskółkami lepszej pomyślności, która zawita w nowym, 1991 roku?

Wierzyliśmy w tę przyszłą pomyślność, głosując na „swoich" kandydatów na prezydenta. Przypomnijmy na zakończenie te wyniki:

W I turze Lech Wałęsa otrzymał w Łodzi 43,5 proc. głosów. Drugi był Stan Tymiński z 21 proc. głosów, trzeci — Tadeusz Mazowiecki z 19,6 proc. głosów. W II turze wyborów wygrał oczywiście Lech Wałęsa (79,27 proc.). Stan Tymiński otrzymał 20,73 proc. głosów, frekwencja wyniosła 49,54 procent.

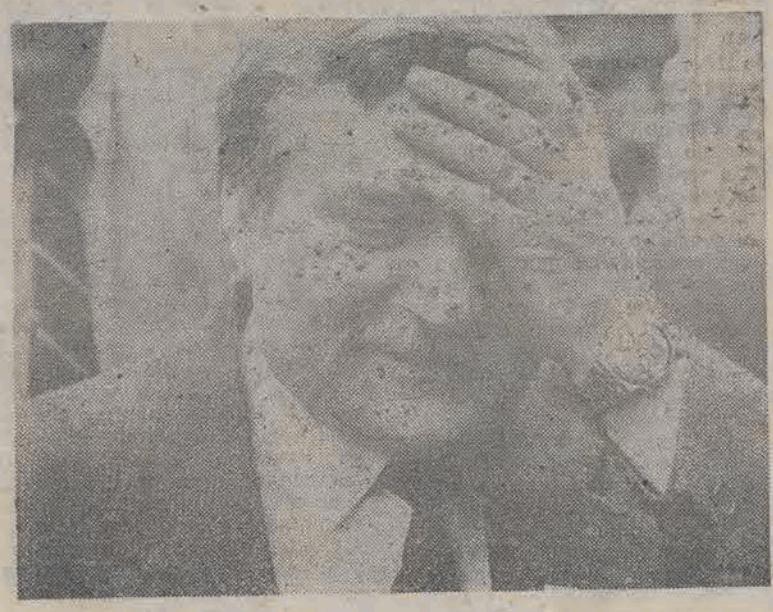

10 listopada przebywał w Łodzi Lech Wałęsa, przyszły prezydent Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Kto mierzy tak wysoko, ma na głowie całą Polskę...

Fot. Grzegorz Gałasiński

Z historii narodu nie można niczego skreślać.

Historia naturalna przemian

Rozmowa z ANDRZEJEM KUŚNIEWICZEM — pisarzem.

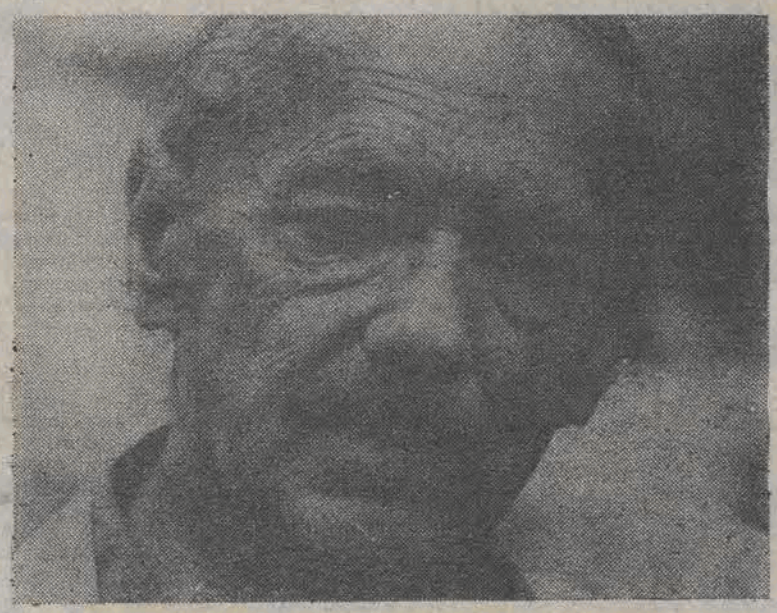

W trwającej obecnie rozprawie z przeszłością można spotkać i takie poglądy, według których należałoby minione 45 lat całkowicie wykreślić z naszej historii. Czy taki zabieg jest w ogóle możliwy?

— Oczywiście, że nie. Jest to szczególnie niemożliwe wobec tych, którzy urodzili się i wychowali w PRL. Oni rzeczywistość II Rzeczypospolitej znają tylko z opowieści lub z literatury. Poza tym trzeba pamiętać, że ludzie w pewnym okresie swego wieku mają nie tylko pojęcie o wartościach politycznych czasów, w których żyli, ale ważne dla nich jest i to, że byli wówczas młodzi. Na przykład ludzie, których młodość przypadła na czasy okupacji inaczej ją pamiętają niż inni. Dla nich był to czas bohaterski, czas walki, nawet piękny, choć przecież były to lata straszne, groźne i dramatyczne. Podobnie niektórzy ludzie wspominają czasy II Rzeczypospolitej, jako piękne, bo ich młodości, choć przecież wtedy też nie wszystko działo się tak, jak tego oczekiwano.

— Uważa zatem pan, że historia stanowi ciągłość niezależnie od naszych ocen?

— Nie można z historii narodu niczego skreślać, choćby to były czasy złe i okrutne.

— Takie próby w niedawnej przeszłości spowodowały już poważne straty w naszej narodowej świadomości.

— Tym bardziej nie wolno tego robić. Nawet z tym okresem naszej przeszłości, który zaczął się w 1944 roku, albo — jak chcą tego niektórzy — w 1947 czy w 1948 roku, kiedy zaczęła się w tej części Europy tworzyć skamielina narzucana przez stalinizm. Dla wielu ludzi był to okres ich młodości, wielu z nich wierzyło, że postępuje dobrze, działali w dobrej wierze. Byli i tacy, którzy mieli świadomość czynionego zła. Trzeba umieć odróżniać ludzi, którzy działają dla idei od takich, którzy robią to dla własnego interesu, dla kariery. Karierowiczów spotyka się w każdym kraju.

Poza tym warto pamiętać, że minionych 45 lat nie można traktować jednakowo. W dziejach PRL były różne okresy. Był czas do 1956 roku, był okres — jak to się umownie mówi — wczesnego Gomułki, średniego i późnego Gomułki, wczesnego Gierka, późnego Gierka i tak dalej. Wreszcie nadszedł okres schyłkowy dla całego systemu. Jedni to dostrzegli dość wcześnie, innym nie mogło to pomieścić się w ich świadomości. Ale jak by na to nie patrzeć w minionych latach dokonały się w Polsce ogromne zmiany, których po prostu nie można wykreślić.

— Czy rzeczywiście nadchodzące zmiany tak łatwe były do przewidzenia?

— W ostatnich 2 latach można było już to przewidzieć, choć nie tempo przemian, które wszystkich zaskoczyło. Stworzyło ono przeświadczenie, że stał się cud i teraz automatycznie całe nasze życie zmieni się na lepsze. Tak się nie stało, bo tak stać się nie mogło. Zmiana ustroju wymaga kosztów, do płacenia których nie byliśmy przygotowani. Stąd liczne błędy polityczne, społeczne, gospodarcze. Jaskrawym przykładem tego jest fakt, że człowiek znikąd, zupełnie nie znany, nagle zdobył w wyborach na Urząd Prezydenta znaczne poparcie. Dla mnie to dowód braku wyrobienia politycznego Polaków.

— Nie mieliśmy raczej szans na polityczne wyrobienie.

— To prawda. Nawet tradycje demokratyczne mamy bardzo zróżnicowane. Inaczej było w Galicji, gdzie był Sejm Krajowy w czasach rozbiorów, w Poznańskiem był szeroko rozwinięty samorząd, a najmniej takich możliwości miała Kongresówka.

— Słyszy się nawoływania do nawiązywania do czasów II Rzeczypospolitej. Jak pan to ocenia?

— Nie sądzę, aby to było w ogóle możliwe. To był inny kraj, inne miał granice, wówczas były liczne i znaczne mniejszości narodowe, inne uwarunkowania międzynarodowe. Polska nie jest takim szczęśliwym krajem, w którym od wieków nic się nie zmienia. Również u naszych wielkich sąsiadów wiele się zmieniło i u nich także powrót do czasów sprzed września 1939 roku byłby niemożliwy.

— Próbuje się teraz reaktywować partie, które działały przed 1939 rokiem w II Rzeczypospolitej.

— Przed wrześniem 1939 roku był zupełnie inny układ polityczny. Były silne partie, ale i one były wewnętrznie zróżnicowane. PPS miała sympatyków Józefa Piłsudskiego i luksemburgizmu. PPS ma bogate tradycje, jak cały socjalizm w Europie, ale dziś PPS to zupełnie coś innego niż przed wojną. Podobnie jest z ruchem ludowym. Ruch ten ma szanse rozwoju i uzyskania znaczenia politycznego, ale trzeba pamiętać, że dziś inne interesy ma wieś niż miała do września 1939 roku. I sama wieś dziś jest inna. Poza tym ruch ludowy nie ma takiego przywódcy, jakim wówczas był Wincenty Witos czy Maciej Rataj. Sanacja przed wojną opierała się na autorytecie Józefa Piłsudskiego, ale zaczęła tracić swoje pozycje, gdy Józef Piłsudski umarł. Komuniści nie mają dziś żadnych szans. Duże trudności mają socjaldemokraci, bo ciąży na nich rodowód PZPR, odium czasów stalinowskich i brak suwerenności rządów późniejszych.

— Czy zdaniem pana w ciągu tego czasu od 4 czerwca 1989 roku uczyniono w Polsce dużo, czy też mało?

— Powiedzialbym: dość dużo. Mam na myśli szeroko krytykowany plan Leszka Balcerowicza. Owszem, wiąże się on z rozlicznymi trudnościami, ale przyniósł też pozytywne skutki. Umocniła się złotówka. Jej kurs w stosunku do dolara prawie się nie zmienia. Wahania są minimalne. Każdego dnia mogę kupić za złotówki dolara i sprzedać go.

— Ale trzeba mieć te złotówki. Nie wszyscy je mają w dostatecznej ilości.

— To prawda. Wielu jest niezadowolonych: chłopi, górnicy, kolejarze. Narzekają emeryci, ale emeryci narzekają w każdym kraju. Co roku jestem we Francji i tam też widzę, jak emeryci się mają. Są i tam tacy, którym trzeba pomagać.

— Niezadowolenie budzi też niejasna sytuacja polityczna, szczególnie podziały zarysowujące się w „Solidarności".

— To jest naturalna historia. Wszyscy, którzy dążyli do zmiany ustroju skupili się pod patronatem „Solidarności" i Kościoła. Teraz, gdy doszli do władzy, dały znać o sobie różnice polityczne.

— Niektórzy powiadają, że to naturalne prawo rewolucji, która „pożera swoje dzieci".

— Jest to bardzo efektowne powiedzenie i coś w tym jest. Tylko czy to pasuje do naszej sytuacji, gdzie zmiany dokonały się w sposób pokojowy? Czy to była więc rewolucja? Rewolucja francuska owszem pożarła swoje dzieci. W jeszcze większym stopniu rewolucja w Rosji. U nas natomiast raczej doszło do wykorzystania dogodnej sytuacji międzynarodowej, kiedy już nie było takiej siły, która pomogłaby utrzymać nie chciany ustrój.

— Czy zatem nie przesadza się z tym ciągłym podkreślaniem, że byliśmy pierwsi, że daliśmy przykład?

— Nie lubię tego w ogóle. To jest megalomania. Wyrasta ona z romantycznych tradycji, kiedy poeci zastępowali polityków.

— W tej przeszłości, o której pan mówi, byli nie tylko poeci, byli też politycy.

— Byli, zgoda. Był Aleksander hrabia Wielopolski — postać bardzo kontrowersyjna. W Galicji był Agenor hrabia Gołuchowski, który był ministrem spraw zagranicznych w Austrii. Trzeba też wymienić Ignacego Daszyńskiego czy Jędrzeja Moraczewskiego, Wincentego Witosa i wielu, wielu innych. Dziś takich ludzi nie mamy.

— Dlaczego?

— System panujący w PRL spowodował degenerację życia politycznego, co nie sprzyjało ujawnianiu się indywidualności. Gdy system socjalistyczny zaczął się chylić ku upadkowi, stało się to, co zawsze dzieje się w takich chwilach, nastąpił podział na aktywnych i biernych. Przy czym aktywni ludzie dzielą się na takich, którzy działają z przekonania, dla wyższych celów i takich, którzy chcą jak najwięcej uzyskać dla siebie, którzy przyklejają się szybko do zwycięzców.

— Skąd u nas od lat trwająca tęsknota za wodzem? Jak to racjonalnie wytłumaczyć?

— Takie tęsknoty występują nie tylko u nas. Zwykle, gdy pojawia się wybitna indywidualność, ludzie stają się szczęśliwi, bo spada z nich odpowiedzialność i łatwo ulegają tej osobowości. Ta tęsknota u nas bierze się częściowo z naszej historii, gdyż mieliśmy różnych wodzów. Wodzem był niewątpliwie Tadeusz Kościuszko. Natomiast książę Józef Poniatowski stał się raczej tylko symbolem walki o wolność, bo polityk był z niego żaden. Józef Piłsudski bardzo silnie zaważył na najnowszych dziejach Polski, wyrobił bowiem i utrwalił przekonanie, że pierwsza osoba w państwie wiele może uczynić dla tego państwa i narodu. I to przekonanie trwa do dziś.

— Są jednak narody, które nie mają takich tęsknot.

— Myśli pani o tych narodach, które od dawna żyją w spokoju, jak w Szwecji czy w Szwajcarii. Już we Francji było inaczej. Francja miała Philippe Petaina, ale i Charlesa de Gaulle'a. Widać w tym wszystkim pewne prawidłowości. Historia Rosji pokazuje, że im niższy poziom wyrobienia społecznego, tym łatwiej zostać wodzem. Historia Niemiec natomiast jest przykładem, że im trudniejsza sytuacja polityczna i gospodarcza, tym większa tęsknota za wodzem. Podobnie było we Włoszech, gdzie wodzem został Benito Mussolini, który tak jak Adolf Hitler w Niemczech nie reprezentował sobą ani wielkiego intelektu, wiedzy, ani wojskowych umiejętności. Zupełnie innym człowiekiem był generał Franco. Byłem w czasach jego panowania w Hiszpanii. Mogłem to obserwować z bliska. Wyprowadził Hiszpanię z trudnego okresu, nie

DOKOŃCZENIE NA STR. 17

Wyrzucili go z rady, bo sprzyjał Polakom

Piąta kolumna czy naturalny pomost?

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

W Katowicach o dworcu mówi się „banhof". Dlaczego nagle wydało mi się to niestosowne? Co się, u diabła, dzieje, czyżby i we mnie ujawnił się jakiś element polskiego szowinizmu? Staliśmy się ostatnio czujni, odkąd wyszło na jaw, że na Śląsku żyje liczna niemiecka mniejszość. W dodatku zrujnowany rabunkową gospodarką region zaczyna domagać się autonomii, plebiscytu...

Nic się już nie da zrobić w sprawie granicy. Rozwiały się nadzieje na tymczasowość życia „pod Polakami", tak troskliwie podtrzymywane przez 45 lat przez braci zza Łaby. Uznaniem polskiej granicy zachodniej kanclerz federalny Kohl wielu okrył żałobą, choć przecież nie wszyscy upadli na duchu. Georg Smuda, sołtys z Nakła, w rozmowie z niemieckim dziennikarzem nie traci optymizmu: — **Jakie uznanie granicy było kiedykolwiek ostateczne! Kto przed rokiem pomyślałby, że Lipsk będzie dziś znów należał do Niemiec?**

Głosy, że Śląsk powinien wrócić do Niemiec, do 3 października docierały do Polski przytłumione odległością. Dziś brzmią niepokojąco donośnie, bo słychać je już zza Odry i Nysy. A nawet w Polsce. Czytelnicy „Schlesische Nachrichten", organu Ziomkostwa Ślązaków, co dwa tygodnie w 10 tysiącach egzemplarzy przywożonego z Niemiec na Śląsk, mogą dowiedzieć się między innymi, że „nie mieszkają w Rzeczypospolitej Polskiej", lecz w „polskim obrębie władzy", nie są „mniejszością niemiecką" żyjącą w obcym kraju, lecz „niemiecką grupą narodową" tak naprawdę zamieszkałą w „Niemczech wschodnich" i że Związek Wypędzonych (BdV) dąży do przeprowadzenia „wolnego plebiscytu w sprawie przyszłości terenów na wschód od Odry i Nysy".

* * *

Dietmar Brehmer jest jednym z przywódców stowarzyszeń ludności niemieckiej w Polsce. Jest założycielem i przewodniczącym Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego w Katowicach. Urodził się w 1945 roku, jeszcze w czasie wojny. Zamożna, fabrykancka rodzina jego ojca przybyła na Śląsk z głębi Niemiec. Matka pochodziła z ubogiej ludności miejscowej. Ojciec mówił tylko po niemiecku, matka po śląsku, ale nie przeszkodziło im to porozumieć się. Owe podwójne korzenie sprawiły, że sprawy mniejszości niemieckiej na Górnym Śląsku w latach 1922—1939 staną się tematem pracy doktorskiej, która powstała podczas studiów doktoranckich Brehmera na uniwersytecie w Kolonii.

— **Moja rodzina prawie cała została po wojnie wysiedlona. Ojciec pracował w służbie medycznej i w styczniu 1945 roku ze szpitalem w Mikołowie ewakuował się do Drezna. Tam przeżył, w rzece, pod mostem, owo straszne bombardowanie dywanowe. Zawsze chciał wrócić do Katowic i pisał: Dietmar, jak wygram w totolotka, to przyjadę (ojciec cały majątek zostawił tutaj), ale nigdy nie przyjechał. Oni tam w Niemczech bardzo bali się wracać.**

Mamę Rosjanie wywieźli na Syberię, skąd po roku wróciła. Przez zieloną granicę chciała wtedy uciekać do ojca. Złapano ją, gdy była już na środku Odry i uwięziono na następne pół roku. Wypadły jej wtedy wszystkie włosy. Po uwolnieniu pieszo wracała do Katowic, odnalazła dzieci i powiedziała, że nigdy już się stąd nie ruszy. Ojciec nie zrozumiał tego, poczuł się dotknięty i w końcu chciał się z mamą rozwieść. W 1964 roku stał się cud — otrzymałem paszport. Pojechałem do ojca do Norymbergi i wytłumaczyłem mu, że to nie tak, że matka wciąż go kocha... Gdy w 1974 roku ojciec zmarł, już paszportu nie dostałem. Przez trzy dni staliśmy wszyscy w kolejce w biurze paszportowym, w końcu naczelnik wezwał nas i powiedział, że tylko mama i brat mogą jechać na pogrzeb. Ja nie.

* * *

Góra św. Anny jest do dziś miejscem jednakowo uświęconym tak dla Polaków, jak i dla Niemców. Kim są mieszkańcy śląskiej ziemi, tak gwałtownie poszukujący dziś swojej tożsamości?

— **Mój ojciec tak bardzo był przywiązany do stron ojczystych. Stale nam powtarzał: proszę was, nie wyjeżdżajcie, zostańcie tutaj** — mówi mieszkanka Opolszczyzny Ursula Sikora. Została, a jej pragnienie bycia Niemką i dumy z tego powodu podsycał stale polski „okupant". Ursula Sikora **nie czuje się winna za** hitlerowskie zbrodnie. Natomiast **ze strony Polaków** pamięta wyłącznie krzywdy — plądrowanie i hańbienie niemieckich cmentarzy, wymazywanie każdego niemieckiego słowa na płytach nagrobnych, nakazy niszczenia wszystkich niemieckich książek, likwidację niemieckich szkół, stowarzyszeń, bibliotek, represje za przyznawanie się do narodowości niemieckiej, dyskryminację.

Po wojnie tereny za Chorzowem potraktowane zostały jak należące do Rzeszy. Rozpoczęły się bezpardonowe wysiedlenia, nie oszczędzano nawet powstańców śląskich. Całkowicie dyskryminowani byli ci, którzy podpisali volkslistę. Jednych wysiedlano, inni trafiali do obozów. Dziesiątki tysięcy ludzi zginęły w łagrach rosyjskich. Wywieziono całe roczniki górników, którzy nigdy nawet w niemieckim wojsku nie byli.

— **W pierwszych latach powojennych** — wspomina Dietmar Brehmer — **moi koledzy to byli prawie wyłącznie Niemcy: Didi, Rudi, Horst. Potem kolegów Niemców było coraz mniej. Niektórzy wyjeżdżali, inni zaczęli inaczej się nazywać — Reinhold stał się Janem, chociaż nadal mówiliśmy do niego Holdek, Gernot — Ryszardem. Ciężko było dzieciom, które mówiły po śląsku.**

Potem były wielkie fale wyjazdów — po odwilży w 57 roku, po roku 70 — wyjechało wtedy półtora miliona ludzi, potem w latach 80...

Gdy rozpoczął się stan wojenny, Dietmar Brehmer był w RFN na stypendium. — **Gdy usłyszałem o wydarzeniach w kopalni „Wujek", natychmiast przyjechałem do Polski. Na „Wujku" pracowała prawie cała rodzina mojej matki, w 1926 roku dziadek zginął tu pod zwałami węgla. Potem codziennie stałem pod krzyżem przed bramą kopalni. Ludzie umieszczali tu różne hasła, wiersze. Pewnej nocy udało mi się zabrać jeden z hełmów poległych górników. Był przestrzelony. Postanowiłem zawieźć go do Warszawy, do kościoła przy Żytniej, z którym współpracowałem po ukończeniu studiów. Nie miałem wtedy zezwolenia na wyjazd z Katowic, więc do tego hełmu zapakowałem jajka. Gdyby ktoś się nim zainteresował, to po prostu wiozłem w nim jajka...**

— **Pierwszej zimy stanu wojennego odwiedził mnie mój kolega z Niemiec. A u mnie w domu nie słuchało się wtedy telewizji ani radia, tylko Chopin mógł być słuchany. — Dlaczego ty to wszystko tak przeżywasz? — zapytał ten mój kolega. A ja wtedy powiedziałem, że straciłem całą nadzieję, którą była „Solidarność". Nadzieję prawdy. Pismo Święte mówi: poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi. Kiedy ta prawda się pojawiła, wszystko się zmieniło. Dzięki temu wkrótce można było zacząć odkłamywać historię, mówić o krzywdach nie tylko po jednej stronie. A także budować demokrację.**

Rozczarowałem się w pierwszych wyborach, w czerwcu, gdy zwolennicy „Solidarności" przewracali nasz stół i krzyczeli, że na nas będzie kolej za cztery lata, a teraz trzeba głosować na „Solidarność".

* * *

Kiedy Dietmar Brehmer stanął do wyborów jako kandydat do Senatu z woj. katowickiego, uzyskał 36 tysięcy głosów. Dopiero później coraz więcej osób zaczęło przyznawać się do niemieckiego pochodzenia.

3 stycznia 1990 r. powstało w Katowicach pierwsze stowarzyszenie mniejszości niemieckiej. Wkrótce pojawiły się następne — na Górnym Śląsku w woj. katowickim, opolskim, częstochowskim i bielskim, a także w województwach: olsztyńskim, gdańskim, toruńskim, wrocławskim, wałbrzyskim, jeleniogórskim i na Pomorzu Zachodnim. Jak dotąd — około 400. Co z nich za Niemcy, pytają Polacy, jeżeli nie mówią po niemiecku? Tak masowe opowiadanie się za przynależnością do mniejszości niemieckiej uznawane jest więc najczęściej za chęć poprawy sytuacji materialnej — przez możliwość podróżowania bez przeszkód do RFN. Takie potraktowanie sprawy Dietmar Brehmer uważa za uproszczenie. W wywiadzie udzielonym swego czasu „Trybunie" powiedział między innymi: „Koronnym dowodem ma być fakt, że większość z tych potencjalnych Niemców nie zna swojego języka. Zapytam więc — gdzie mieli go poznać? W Katowicach tylko jedno liceum miało prawo do jego nauczania, a już na zachód od tego miasta — niemieckiego nie pozwolono uczyć ani w szkołach, ani na kursach dla dorosłych. Odwilż nadeszła w latach osiemdziesiątych, kiedy „Solidarność" przynaglała do respektowania praw człowieka".

Tymczasem około 700 tysięcy ludzi w Polsce zadeklarowało przynależność do niemieckiej mniejszości. Żądają umożliwienia nauki języka niemieckiego we wszystkich szkołach Górnego Śląska, niemieckich szkół, bibliotek, ośrodków kultury, podwójnego obywatelstwa, autonomicznych praw. Niestety Sejm wciąż jeszcze nie uchwalił ustawy o ochronie mniejszości, która precyzowałaby wszystkie ich prawa.

Dietmar Brehmer był jednym z tych przedstawicieli towarzystw niemieckich, którzy uważali, że ich ruch powinien mieć reprezentację wobec władz obu państw. We wrześniu tego roku wystąpił z inicjatywą powołania Rady Naczelnej Stowarzyszeń Niemieckich w RP, która w przedstawionym przez siebie memoriale stwierdza między innymi, że „w stosunkach niemiecko-polskich nastąpi obecnie czas pojednania, doskonałej współpracy i partnerstwa w budowaniu wspólnego europejskiego domu: Europy regionów bez granic. Tylko w takich warunkach widzimy, jako niemiecka mniejszość, możliwość konstruktywnej działalności w charakterze naturalnego „pomostu" między tymi dwoma wielkimi narodami i pozostania w swoich stronach rodzinnych. Czujemy się szczególnie powołani do pracy na rzecz zjednoczenia Europy; predestynują nas do tego nasza dwukulturowość, dwujęzyczność, tradycje tolerancji narodowej i religijnej oraz dogłębne zrozumienie spraw polskich i niemieckich.

Jako najważniejsze i najpilniejsze zadanie Rada Naczelna widzi dzieło ratowania Górnego Śląska przed jego cywilizacyjną zapaścią — a więc jego degradacją ekologiczną, zdrowotną, gospodarczą, kulturalno-oświatową i socjalną".

Radę uznały oficjalnie obydwa państwa i poparły ideę jej powołania.

DOKOŃCZENIE NA STR. 17

Dzieła sztuki cudownie się zdematerializowały

Samotnik z kamienieckiego zamku

MAREK KOPROWSKI

Każdy szanujący się zamek warowny miał tę właściwość, że był widoczny z daleka i górował nad okolicą. O takim usytuowaniu decydowały względy strategiczno-obronne, choć prestiż i moc pana na zamku też były nie bez znaczenia. Niegdysiejsze zalety przerodziły się współcześnie w niewygodne, kłopotliwe wady. Dziś wszystko (i wszyscy), co widoczne z daleka i górujące nad otoczeniem narażone jest — niczym owe pochyłe drzewo na kozią ofensywę — na ataki, podejrzenia, manipulacje — słowem, na przebywanie w nieświeżej atmosferze zasmradzanej pracowicie przez „życzliwych i szczerze zatroskanych".

Tak jest i w przypadku zamku w Kamieńcu Ząbkowickim, niewielkim miasteczku położonym u wejścia do Kotliny Kłodzkiej. Zamek ten jest największym dziełem znakomitego architekta Karola Fryderyka Schinkla na terenie Polski. Zlecenie na budowę przyjął on w roku 1838 od księcia Fryderyka Henryka Albrechta Pruskiego i jego małżonki, księżny niderlandzkiej Marianny Orańskiej. Inspiracją do projektu kamienno-ceglanych murów były średniowieczne zamki i fortyfikacje śląskie, a także zamek w Malborku. Schinkel doglądał budowy aż do śmierci w 1841 roku. Budowę kontynuowano do roku 1844, po czym prace przerwano. Wznowiono je w 1853 pod kierunkiem ks. Albrechta, syna ks. Marianny. Książę wprowadził wiele zmian, zwłaszcza we wnętrzach, wzorując się na modnym wówczas gotyku angielskim. Zamek kamieniecki znany był w Europie już w czasie budowy. Jego ogrom (ponad 19 tys. m. kw.) — oryginalny, baśniowy styl, wspaniałe położenie, rozległy park — wszystko to zasługiwało na podziw i uznanie. Przed wkroczeniem wojsk radzieckich właściciele opuścili zamek pozostawiając całe jego wyposażenie i liczne dzieła sztuki przewiezione tu z Wrocławia dla ochrony przed bombardowaniami.

Wyposażenie i dzieła sztuki cudownie się zdematerializowały, a zamek pod rządami nowej władzy popadał w coraz większą ruinę. Warunki atmosferyczne skutecznie wspomagane przez działtwę i miejscowych troglodytów metodycznie rujnowały imponujący zabytek. Na szczęście istnieją na ziemi szaleńcy — w każdym miejscu i każdych warunkach — którzy coś zaczynają sobie roić, mało tego, wbrew logice i racjonalnym przesłankom biorą się do dzieła...

Tak było i w opisywanym przypadku. W 1985 r. pojawił się w Kamieńcu Ząbkowickim pan Włodzimierz Sobiech, doktor z Akademii Rolniczej w Poznaniu. Zostawił rodzinę, wkroczył na zamek, gdzie mieszka do dziś z matką. Uprzednio dogadał się, rzecz jasna, z ówczesnym naczelnikiem gminy Zdzisławem Fleszarem, któremu gnijący zamek również leżał kamieniem na zębach. No i zaczęły się korowody. Pan Sobiech dysponował dużym kapitałem i szparko zabrał się do pracy. Dziś włożone w zamek prywatne pieniądze Sobiecha oblicza się na 3 mld zł, co pomnożone przez współczynnik przeszacowania majątku trwałego obowiązującego w tym roku daje sumę 24 mld zł.

Dziś mówi się również, że ówczesna zgoda naczelnika była pozwoleniem półoficjalnym, że opiewała na wykonanie robót zabezpieczających, wywóz gruzu, wycięcie krzewów, itp. Formalna umowa dzierżawna pomiędzy urzędem gminy a Sobiechem została zawarta 3 lata później, a więc w 1988 roku. Według fachowców, nowy formalny dzierżawca przekroczył zakres zezwolenia. Rozpoczął bowiem roboty rekonstrukcyjne bez żadnej dokumentacji, bez inspektora nadzoru z uprawnieniami. Jako rolnik bez wykształcenia nie daje gwarancji, że podoła trudnym i skomplikowanym pracom wymagającym dużej wiedzy i fachowości.

Z drugiej strony należy mu się podziw, szacunek i wdzięczność za to, że podjął się ratowania cennego zabytku, poświęcając mu dorobek całego życia. Mimo braku wiedzy fachowej udało mu się położyć dach (drobiazg — 3,5 tys. m. kw.), zabezpieczyć okna, wstawić futryny, szyby, wzmocnić mury, balustrady, sklepienia itd.

Sytuacja była (i jest) skomplikowana, wymagała taktu i dyplomacji, a przede wszystkim wyzbycia się emocji i nerwowości. Nie miał tych wątpliwości kolejny naczelnik gminy, były I sekretarz PZPR w Kamieńcu Ząbkowickim, tow. Juliusz Lipski. Zerwał umowę podpisaną na 40 lat, bez ustawowego rocznego wypowiedzenia, by sprzedać zamek wraz z 127 ha lasu za 25 mln zł Fundacji Zabytków Śląska, z którą podpisał już nawet umowę przedwstępną. Sprawę udało się odwrócić „pięć minut przed dwunastą". Już był w ogródku, już witał się z gąską.. Tacy prostolinijni towarzysze mający na celu (ale tylko w gębie) wyłącznie dobro człowieka, charakteryzowali się tym, że do ich czół zaduma nie miała łatwego dostępu.

Foto: Andrzej Gębarowski

Nowy gospodarz gminy, wójt Dominik Krekora opowiada, że zwrócono się do poprzedniego wojewody o ponowne rozpatrzenie sprawy. On utrzymał decyzję tow. Lipskiego w mocy, ale jednocześnie powołał komisję, która miała sprawę zbadać raz jeszcze. Skąd ta decyzyjna schizofrenia?

Ano stąd, że w Kamieńcu pojawiła się red. Grażyna Orłowska z ekipą telewizji wrocławskiej. Plonem tej wizyty były dwa programy interwencyjne: lokalny i ogólnopolski w Expressie Reporterów. Właśnie telewizja spowodowała rozdwojenie jaźni u zdezorientowanego wojewody.

Trzeba dodać, że zgodę na sprzedaż zamku za 25 mln zł zatwierdziła pani minister Cywińska. W związku z tym, podczas sierpniowego spotkania premiera Mazowieckiego ze stoczniowcami w Gdańsku padło pytanie, kto ponosi odpowiedzialność za skandal związany ze sprzedażą kamienieckiego zamku i czy pani minister kultury i sztuki poniesie za to konsekwencje. Premierowi ta sprawa nie była znana, ale dobrze się stało, że dotarła na najwyższe szczeble państwowej drabiny.

Włodzimierz Sobiech tymczasem zaskarżył zerwanie umowy, sprawa będzie rozpatrywana przez Najwyższy Sąd Administracyjny. Niezależnie od tego, problem wrócił oficjalnie do gminy, jako prawnego właściciela zamku. Tu z decyzjami czeka się na wyrok sądu.

— Naturalnie niszczenie substancji postępuje szybciej niż prace rekonstrukcyjne, gdyż tempo prac wyraźnie spadło — mówi wójt Dominik Krekora. Jest pełen uznania dla Sobiecha, jego uporu i konsekwencji, chce sprawę rozstrzygnąć tak, by nikt nie czuł się skrzywdzony. Czeka na wyrok sądu. — Można eksmitować Sobiecha, mimo iż po terenie biega dwadzieścia groźnych psów — dodaje — ale trzeba szukać innych możliwości porozumienia. Do skutku.

A Sobiech jest na zamku, choć umowy prawnej nie ma. Czeka — jak wszyscy — na rozprawę.

Psy nie psy, idę na zamek.

Okrążam go, przedzieram się przez krzewy dzikiej róży, które drapią mi czoło do krwi. Idę wzdłuż potężnych murów obronnych i dwoma rzędami otworów strzelniczych, by nagle dojść do nie osłoniętego murami miejsca. To zaskakujące. Z mchu i igliwia wyrastają smukłe kolumienki, łącząc się delikatnymi, ażurowymi łukami w zwiewną kolumnadę. Zupełnie inne od masywnej reszty, rodem jakby z pałacu w Alhambrze, przystają jednak dziwnie do całości, zachwycają. Psuje tę bajkową kompozycję prymitywna brama pilnowana przez dwa brytany na uwięzi i koślawe napisy na drewnianej tablicy: „Privatel Eintritt verboten" (Teren prywatny! Wstęp wzbroniony).

Przez to nie osłonięte, czułe miejsce zamczyska wtargnąłem do wnętrza. Widać duży postęp prac. Ułożone mozaiki podłogowe, stiuki, stolarka, pomalowane ściany, tu i ówdzie meble. Więc jednak. Sobiech jest nie tylko uparty. On pracuje, z brygadą ludzi, oczywiście.

„Pan na zamku" jest rozżalony, ale nie zrezygnowany. Nie chce się zgodzić z decyzjami władz jako tendencyjnymi, naciąganymi. Uważa, że szuka się pretekstu, by go wykurzyć z zamku, zerwać umowę (co się stało), która miała obowiązywać 40 lat. Jest bliski pewności, że były sekretarz PZPR (późniejszy naczelnik) Lipski, wojewódzki konserwator zabytków i „ktoś" w Warszawie zmówili się, by sprzedać zamek fundacji i miękko w niej wylądować na lukratywnych posadach. Jest za spiskowym czytaniem tej historii. Uważa, iż należy się pomoc człowiekowi, który dobrowolnie poświęcił zabytkowi kawał życia i wszystkie oszczędności. Cała ta historia spowodowała, że stał się odludkiem, nieco zaniedbanym i cały czas spędza na zamku.

— Aby utrzymać taki ogromny obiekt, musi on przynosić dziennie ponad 100 mln zł. To może (ale nie musi) zapewnić kasyno gry w wielkim mieście, ale nie najelegantszy nawet kompleks hotelowo-rozrywkowo-gastronomiczny w tak małej miejscowości jak nasza — mówi wójt D. Krekora.

— A co do sprzedaży zamku przez panią minister — dodaje — ona nie sprzedaje zamków, tylko wydaje opinie. W przypadku zabytków o szczególnym znaczeniu dla kultury czy sztuki, przysługuje jej prawo pierwokupu. Tu z prawa tego nie skorzystała, a to znaczy, że o jego losie decydować będziemy my, władza gminna.

Sprawa nie jest prosta, jak już wspomniałem. Wydaje się jednak, że rozsądek wójta i jego właściwe, bez emocji podejście do sprawy dobrze rokują.

Trzeba zrobić wszystko, by ten piękny, monumentalny zabytek nie zamienił się w architektoniczne truchło obracające się w asyście prawa w proch, z którego powstał, gdyż dzieło rąk ludzkich nie musi dzielić losu przypisanego marnemu człowieczemu życiu na ziemi.

Wiek — 24 lata, wyrok — 25.

Bandycki rajd

ZOFIA TARNOWSKA

W jednej z posesji przy ulicy Zielonej mieszkała 69-letnia Janina B. Trzy lata temu owdowiała. Przepracowali z mężem wiele lat i zgromadzili sporo oszczędności. Wykorzystali je na umeblowanie mieszkania i zakup biżuterii traktując to jako lokatę kapitału. Miała więc Janina B. dwa sygnety, kilka pierścionków, łańcuszek, zegarek z bransoletką — wszystko ze złota, a poza tym trochę bonów lokacyjnych i drobne kosztowności. Emeryturę dostawała niewielką.

Dzieci nie miała. Najbliższą jej rodziną była siostrzenica Amalia C. i jej brat, których wychowała po wczesnej śmierci ich matki. Siostrzenicę upoważniła starsza pani do pobrania jej ubezpieczenia z PZU na zorganizowanie pogrzebu. Ustalił się tryb kontaktów. Amalia C. odwiedzała ciotkę co najmniej raz w tygodniu, często z bratankiem, a okazjonalnie wpadali także do niej jej synowie — w tym Dariusz I. Ostatni raz Amalia była u ciotki 19 lipca 1989 r. i zapowiedziała następną wizytę na 25 tegoż miesiąca. W tym dniu odwiedził ciotkę bratanek Amalii C., ale bezskutecznie kołatał do drzwi. Zaniepokoił się brakiem odzewu. Starsza pani raczej nie opuszczała mieszkania. Była bardzo ostrożna, do domu wpuszczała tylko znane jej osoby. Z sąsiadami utrzymywała poprawne stosunki, była przez nich lubiana jako osoba spokojna i bezkonfliktowa.

Nie uzyskawszy żadnych informacji na temat nieobecności Janiny B. w domu — bratanek pojechał do ciotki z pytaniem czy nie wie coś na jej temat.

Pojechali razem na Zieloną. Po bezskutecznym dzwonieniu do drzwi Amalia otworzyła je kluczami, które miała stale u siebie. To, co zobaczyli w mieszkaniu zjeżyło im włosy na głowach...

Z ZIMNĄ KRWIĄ

Dariusz I. urodził się 21 lutego 1966 r. Ukończył szkołę przysposobienia do zawodu uzyskując fach tokarza. Praca nie była jednak jego pasją. Chwytał się to tego to owego, w swoim zawodzie zaczepił się raz tylko na krótko. Ostatnio wykonywał pracę montera kotłów w bełchatowskiej elektrowni, ale z wielką niechęcią. Porzucił ją 23 czerwca 1989 r. Już następnego dnia, pod nieobecność rodziców, zabrał z domu dwie złote obrączki, takiż pierścionek i 40 tys. zł i nie mówiąc nikomu słowa pojechał z kolegą na Mazury. Odwiedził ciotkę, która przez pewien czas utrzymywała go i dała kilkanaście tysięcy złotych, bowiem własne zasoby Dariusz I. już wydał. Z pieniędzmi od ciotki pojechał do Zakopanego. 21 lipca wracał nocnym pociągiem do Łodzi. W podróży wypił z nie znanymi sobie żołnierzami litr wódki i „dwa wina" Pijany wysiadał na łódzkim dworcu. Zjadł w bufecie śniadanie i pojechał do Janiny B Postanowił pożyczyć od niej 50 tysięcy złotych na dalsze podróże i... alkohol. W domu rodziców bał się zjawić ze zrozumiałych względów.

Janina B. otworzyła drzwi synowi siostrzenicy, a widząc w jakim jest stanie zrobiła awanturę. Poleciła mu umyć się i pojechać do szukających go rodziców. Dariusz I. ogarnięty był jednak tylko jedną myślą: dostać pieniądze! Domagał się tego stanowczo, a kategoryczna odmowa i policzek, którym Janina B. usiłowała doprowadzić go do opamiętania — zrodziły wściekły zamiar pozbawienia jej życia. Chwycił kobietę za szyję i pchnął na podłogę. Straciła na moment przytomność, ale odruchowo usiłowała wstać. Wtedy chwycił sznur od gazowej zapalarki i omotał jej szyję zaciskając oba końce. Ciało znieruchomiało. Przewrócił ją wówczas twarzą do podłogi, zacisnął mocno oba końce sznura i zawiązał w pętlę na karku. Zdjął z jej rąk pierścionki i zegarek. Kolczyków nie udało mu się wyjąć z uszu...

Przeciągnął zwłoki z kuchni do małego pokoiku i rozpoczął systematyczne przeszukiwanie mieszkania i sprzętów. Znalazł biżuterię, 14 tys. zł i 4 butelki wódki. Po dwóch godzinach opuścił mieszkanie zamykając je na klucze, które zabrał ze sobą. Taksówką pojechał do kolegi — Andrzeja A. Pokazał mu łupy i powiedział, że to wszystko ukradł ciotce. Raczyli się skradzioną wódką i zaplanowali wyjazd do Sopotu. Potrzebowali pieniędzy, więc Dariusz I. polecił koledze sprzedać obrączkę. Ten znalazł nabywcę na „Górniaku", dostał 60 tys. zł i przywiózł Dariuszowi, który postanowił zostawić u kolegi złoty sygnet jako rezerwę na wydatki po powrocie z wojaży.

Pojechali późnym wieczorem wysączając do dna zawartość czterech butelek wódki. W Sopocie Dariusz I. sprzedał przygodnym nabywcom dwa pierścionki za 160 tys. zł, kupił wódkę i pili przez noce i dnie do 24 lipca, w mieszkaniu zaoferowanym im przez niezidentyfikowanego mężczyznę. Wieczorem wyjechali do Zakopanego. Po drodze Andrzej A. zrezygnował z dalszej podróży i wysiadł w Inowrocławiu. Dariusz I. dotarł do stolicy Tatr i siedział tam do ostatniego lipca, a następnie pojawił się w Warszawie, gdzie na Bazarze Różyckiego sprzedał następny pierścionek. I znowu ruszył do Sopotu znajdując lokum u tego samego mężczyzny. Nie trzeźwiał przez pięć dni...

Do Łodzi wrócił szóstego sierpnia — prosto do Andrzeja A. Dowiedział się, że sygnet — pozostawiony jako żelazny kapitał — został skradziony. Postanowił więc pójść do mieszkania zamordowanej przez siebie Janiny B., żeby zabrać... kryształy. Poszli obaj. Mieszkanie zastali zapieczętowane, więc zrezygnowali z otwarcia drzwi i Dariusz I. wyrzucił klucze do studzienki ściekowej (w trakcie śledztwa znaleziono je przy pomocy ekipy z przedsiębiorstwa wodociągów). Obaj nie wiedzieli o tym, że Dariusz I. jest podejrzany o popełnienie zbrodni i poszukiwany listem gończym.

O KROK OD ŚMIERCI...

Arnold D. prowadził własny warsztat dekarski. Przez jeden jesienny wieczór 1988 r. pracował u niego Dariusz I. 12 sierpnia 1989 r. Arnold D. wyszedł w południe z mieszkania. Jego uwagę zwrócił młody mężczyzna stojący przy wejściu do klatki schodowej. Zapamiętał jego wygląd. Wkrótce do mieszkania Arnolda D. ktoś zadzwonił. Żona nie otworzyła drzwi mężczyźnie, który chciał widzieć się z jej mężem. Po krótkim czasie sama wyszła z mieszkania, a kilkadziesiąt minut później wrócił Arnold D. Zdążył się rozebrać i umyć, gdy rozległ się dzwonek. Przez wizjer rozpoznał swego dawnego pracownika.

W otwartych drzwiach rozpoczęła się rozmowa z Dariuszem I., który pytał o możliwości powrotu do pracy. W tym momencie pojawił się na schodach mężczyzna, którego Arnold D. zauważył wcześniej przy klatce schodowej. Usiłował zamknąć drzwi polecając amatorowi pracy kontakt z brygadzistą, ale nie zdążył. Został powalony przez Dariusza I. ciosem głowy w twarz. Napastnicy weszli do mieszkania. Ten drugi (to był Andrzej A.) trzymał w ręku nóż. Odwrócili ofiarę napaści twarzą do szafy korytarzowej i zaczęli bić grożąc pozbawieniem życia, jeżeli nie wyda im złota, pieniędzy i dolarów.

W wędrówce po mieszkaniu towarzyszyli mu przy wyjmowaniu zasobów i pod groźbą ucięcia palca polecili zdjąć także obrączkę. Łup, który zebrali (wartości ponad 3,5 mln zł) nie zadowolił ich. Zaprowadzili mężczyznę do łazienki. Tam Dariusz I. zaczął go dusić, a Andrzej A. groził ciosem noża w brzuch. Wybili mu dwa zęby, żądali ciągle pieniędzy. Wywlekli pobitego do przedpokoju, skrępowali ręce i nogi, zakneblowali usta. Ofiara świadoma swej absolutnej bezradności i śmiertelnego zagrożenia, błagała tylko o darowanie życia nie czyniąc najmniejszego gestu obrony. To uratowało Arnolda D. od śmierci. Napastnicy jeszcze raz przeszukali mieszkanie zabierając co cenniejszą odzież i inne przedmioty. Zagrozili zabójstwem w razie zgłoszenia napadu organom ścigania i taksówką pojechali do mieszkania Andrzeja A. na podział łupów Arnoldowi D. udało się wyzwolić z pęt. Z kneblem w ustach dostał się do sąsiada. Wezwano pogotowie i milicję.

22 sierpnia, w gronie mężczyzn przedstawionych do rozpoznania — Arnold D. wskazał Andrzeja A. jako jednego z dwóch bandytów, Dariusza I. jeszcze nie ujęto. Udało się to dopiero 7 października w mieszkaniu dalekich jego krewnych.

Obydwaj byli kolegami z jednej ulicy i z jednej szkoły — przysposobienia do zawodu. Andrzej A., pół roku starszy od Dariusza I., pozostawał na utrzymaniu rodziców. Nie był karany. Natomiast Dariusz I. miał już za sobą dwa wyroki sądowe. Pierwszy (już w 1984 r.) za spowodowanie wypadku, drugi — za znieważę.

Jego życiorys — od wieku dziecięcego — pozostaje nieznany. Rodzice — zgodnie z przysługującym im prawem — odmówili składania zeznań. Psychiatrzy — biegli sądowi — nie stwierdzili konieczności poddania podejrzanego obserwacji sądowo-psychiatrycznej. Nie było wątpliwości co do jego zdrowia psychicznego. Stwierdzono jedynie cechy osobowości nieprawidłowej, niedojrzałości społecznej i uzależnienia alkoholowego.

W jednym z wyjaśnień składanych przez Andrzeja A. przed prokuratorem, zanotowano: „(...) w trakcie podziału rzeczy zabranych od D. piliśmy wódkę i wypiliśmy kolejne pół litra, a ponieważ wcześniej wypiliśmy litr wódki, a nadto piliśmy przez poprzednie dni, ja zmęczony zacząłem usypiać" (...).

Postawa młodego bandyty w czasie śledztwa i przed sądem nie wskazywała na budzenie się uczuć wyższego rzędu. Oceniając swoje czyny posłużył się znanym w takich wypadkach stereotypem. Prokurator zanotował: **„odnośnie obu czynów stwierdzam, że żałuję tego co popełniłem, wiem że za te czyny spędzę ileś lat w kryminale, że nie będę sobie mógł ułożyć życia osobistego, że narobiłem tyle wstydu rodzicom, którzy swoim postępowaniem do mnie na to nie zasłużyli".**

* * *

Nieprawomocnym jeszcze wyrokiem Sąd Wojewódzki w Łodzi skazał Dariusza I za morderstwo w celach rabunkowych na 25 lat pozbawienia wolności i 8 lat utraty praw publicznych. Za drugi czyn — na 10 lat. Kara łączna: 25 lat więzienia, 8 lat pozbawienia praw i 2 mln zł grzywny. Andrzej A. skazany został za napad rabunkowy, dokonany razem z Dariuszem I. na Arnolda D — na 8 lat więzienia, 5 lat pozbawienia praw i 2 mln zł grzywny.

P S. Autentyczne są tylko imiona i pierwsze litery nazwisk osądzonych. (zt)

Policjanci czują się wyobcowani

Co tu robi gliniarz?

KRZYSZTOF ZAJĄC

Policja, dawniej wyobcowana decyzjami polityków, potem bezbronna wobec licznych ataków — często uzasadnionych, choć zbyt pochopnie uogólniających — zachowuje się jak mieszkańcy oblężonego miasta, jak napiętnowani członkowie getta, którzy bezpieczni czują się tylko we własnym gronie. Stąd specyficzne reguły, jakie wśród nich obowiązują.

Policjant składający oficjalne skargi na swoich kolegów jest kapusiem naruszającym zasady wewnętrznej solidarności. Dlatego nie doniesie o koledze „poprawiającym" po złodzieju, o tym, że zamiast patrolować miasto czas spędził w ciepłej melinie lub pijany przyszedł na służbę.

Policjant nie zawiadomi zwierzchnika ani nie zezna przed prokuratorem, że zna fakty niezmiernie brutalnego, niczym nie uzasadnionego, bicia zatrzymanego, że pochopnie użyto broni lub zlekceważono wezwanie o pomoc. Nie zrobi tego choćby sam potępiał takie zachowania. Policjant bowiem nie wierzy w obiektywizm prokuratora, sprawiedliwość prasy, zrozumienie ze strony społeczeństwa. „Kapuś" w mundurze nie liczy na życzliwość szefów, sympatię uczciwych kolegów. Jest przekonany, że prokurator potraktuje go gorzej od złodzieja, sędzia nieufnie, a każda wpadka lub błąd przy wykonywaniu pracy spowoduje kłopoty niewspółmierne do winy. Dlatego solidarność policjantów jest wspólnotą wyobcowanych i zagrożonych. Człowiek w mundurze wierzy bowiem, że przez społeczeństwo jest pożądany tylko przez chwilę: w sytuacji bezpośredniego zagrożenia własnego bezpieczeństwa. Gdy ono mija, wraca stara zakorzeniona głęboko niechęć i nieufność. Stąd wysoki stopień utajnienia faktów z codziennej pracy policjantów.

Czego nie powinien wiedzieć prokurator

Małą uliczką, gdzieś w okolicach centrum Łodzi, rządzi gang. Handel wódką z bramy jest tu codziennym, normalnym zjawiskiem. Przechodzień, który tu nocą zabłądził, może się uważać za szczęściarza, jeżeli został tylko okradziony. Gdy próbuje się bronić, zostaje brutalnie pobity. Niewielkie, dwuosobowe patrole policji są lżone i wyśmiewane. Młody policjant bez doświadczenia, ale i ten doświadczony, zmęczony życiem i pragnący świętego spokoju, boi się interweniować. W tej sytuacji kierownictwo komendy rejonowej podejmuje decyzję o przeprowadzeniu akcji specjalnej: profilaktycznym, zmasowanym pałowaniu. O tym, niezgodnym z prawem, założeniu prokurator nie powinien wiedzieć.

Mimo, że termin akcji jest znany tylko nielicznym, gromada okupująca uliczkę jest mniejsza niż zawyczaj — ktoś ostrzegł wybranych. Pozostali są uzbrojeni w stalowe pręty, noże, broń gazową. Policjanci dysponują miotaczami sieci, których nikt nie lubi używać, bo potem jest kilka godzin składania siatki, krótkimi pałkami — długie, szturmowe, są zabronione choć znacznie bardziej skuteczne w podobnych okolicznościach (na akcji ma je tylko dwóch policjantów, są nielegalnie wypożyczone od kolegów z innej formacji). Mają też broń, której użycie obwarowane jest tyloma ograniczeniami, że tylko umierający, postrzelony przez bandytę funkcjonariusz może jej użyć bez licznych, służbowych nieprzyjemności — taka jest przynajmniej opinia samych zainteresowanych.

O godzinie „zero", po długotrwałym oczekiwaniu, gdy policjanci zamiast patrolować ulice siedzieli w komisariacie, napięcie silnie narasta. Uczucie niepokoju wzmagają apele dowódcy o ostrożność: pamiętajcie, że w domu czekają wasi najbliżsi. Instrukcja na tę noc jest prosta: nie dążyć do zatrzymania, każdego kto ucieka sprowadzić do poziomu ziemi, wszystkim urządzić ostry, odstraszający, niepraworządny łomot.

O wyznaczonej godzinie dwie grupy policjantów zamykają uliczkę. Potem błyskawicznie ruszają do ataku. Kto nie słucha wezwania, by kłaść się na ziemię, tłuczony jest tak długo, aż znajdzie się na bruku. Pałą dostaje młoda kobieta utrzymująca, że przechodziła uliczkę w drodze na targ, gdzie chciała dokonać tańszych, nocnych zakupów. To nic, że uliczką szła kilka godzin. Chciało jej się pić i po drodze zatrzymała się przy handlarzach wódki. Teraz biją ją, jak krzyczy, za niewinność. Ostre lanie otrzymuje także inny niewinny. Wyskoczył po pół litra, a przy okazji zasiedział się część zakupu spożywając na miejscu. Teraz najgłośniej krzyczy przeciw brutalności policjantów. A im głośniej krzyczy, im bardziej się rzuca, tym mocniejsze lanie dostaje. Gdy stali bywalcy uliczki leżą spokojnie, w milczeniu przyjmując należną im porcję pałek i kopniaków, on jeden uparcie próbuje wstać choć całą twarz ma już zalaną krwią.

Kilkanaście minut później uliczka jest pusta nie licząc krwi na bruku i potłuczonych butelek od wina i wódki. Zatrzymani, doprowadzeni na komendę, rano idą do domów, gdyż brak jest podstaw do zatrzymania lub wniesienia oskarżenia. Ofiary napadów boją się zeznawać, brak świadków, a więc także i podstaw do zastosowania aresztu. Członkowie gangu również nie składają skargi z powodu bezprawnego pobicia. Łomot, jaki otrzymali jest wkalkulowany w koszty działalności. Jednak uliczka przez najbliższe kilkanaście dni jest nieco bardziej bezpieczna.

Kiedy policjant czuje się bezradny

Wariat z nożem biega po jednej z osiedlowych uliczek Polesia. Jest środek nocy! Przerażeni mieszkańcy z okien mieszkań obserwują jak oszalały mężczyzna atakuje stojących na przystanku. Długi, kuchenny nóż wygląda bardzo groźnie. Po kilku minutach pojawiają się wozy patrolowe policji.

Policjanci krążą po ciemnych zakamarkach międzyblokowych podwórek przyświecając kieszonkowymi latarkami na baterię płaską. Wreszcie szaleniec pojawia się wychodząc z klatki wprost na funkcjonariusza. Policjant nie atakuje wariata. Czeka na wsparcie kolegów. Kilka minut później, gdy jest ich już trzech — atakują. Pałką wybijają nóż z ręki, obezwładniając gazem i skutego kajdankami prowadzą do radiowozu. Wariat wrzeszczy na cały głos. „Biją niewinnego" — krzyczy, a ludzie z okien wyzywają brutalnych policjantów.

Na komisariacie zatrzymany, przypięty kajdankami do grzejnika, na przemian płacze i grozi. Żąda adwokata, telefonu do mamusi lub „wujka Niewiadomskiego" (nie pamięta, że osoba, na powiązania rodzinne z którą się powołuje, już dawno przestała rządzić miastem). Krzyczy tak głośno, że zatrzymani w tym samym czasie złodzieje samochodu proszą policjantów: zamknijcie mu gębę, bo wytrzymać nie można. Policjanci jednak bezradnie rozkładają ręce. Gdy grożą, że zamkną go w celi razem ze złodziejami, zapiera się rękami i nogami. „Mam klaustrofobię — protestuje — nie wolno mnie zamykać". Rano, po całonocnych wrzaskach pod dyżurką, zdenerwowani policjanci opryskliwie traktują każdego interesanta. Wariat, gdy wytrzeźwieje, pójdzie do domu przekonany, że w najgorszym wypadku grozi mu kolegium. Od picia i kolejnych awantur to go nie powstrzyma.

Tak samo bezradni są inni policjanci, którzy kilka dni później zatrzymują złodzieja w trakcie okradania śpiącego pijaka leżącego koło przystanku. Złodziej bezczelnie zaprzecza wszelkim zarzutom twierdząc, że chciał zaopiekować się leżącym. Portfel, który trzymał w ręce zdążył wyrzucić i teraz gra rolę obrażonego niewiniątka. Zaczyna coraz „grubszymi" słowami wyzywać policjantów. Na pytanie o wcześniejszą karalność kłamie (sprawdzone przez radiotelefon w kartotece) i nie przejmuje się, że kłamstwo mu udowodniono. Od dwóch lat nie pracuje, bo jest bezrobotny, a policjantów gówno obchodzi z czego żyje. Gdy w komisariacie sprawdzają zawartość jego kieszeni, z wyłożonej na stole i przeliczonej sumy kilkudziesięciu tysięcy kradnie, sam sobie, jeden banknot, by potem krzyczeć, że policjanci go ograbili.

I tu „gliniarze" są bezradni. Muszą wypuścić łumpa. Na pożegnanie, pod drzwiami komendy, dają mu lekkie palcwanie.

Nie bili natomiast policjanci, którzy za pijanym złodziejem samochodu prowadzili pościg przez pół miasta. Ścigany jechał ulicami z prędkością znacznie przekraczającą sto kilometrów. Ścinał zakręty, jechał lewym pasem o włos doprowadzając do katastrofy. Gdy go zatrzymano, pytał tylko o jedno: jaki grozi mu wyrok. Gdy usłyszał, że do pięciu lat, powiedział: pocałujcie mnie w dupę. Gdy po dwudziestu czterech godzinach został zwolniony z aresztu, poczuł się jeszcze pewniej, przeciwnie niż policjanci nie wykazujący zrozumienia dla decyzji prokuratora.

* * *

Kilkanaście nocy spędziłem na nocnym patrolowaniu ulic miasta. Widziałem policjanta, który się boi, ale i takiego, który pewnie wchodził w tłum agresywnych mężczyzn po to, by wyłuskać prowodyra. Widziałem policjantów defilujących samochodami przed nową, wyjątkowo ładną prostytutką, która pojawiła się na ulicy i później, skupionych godzinami, wypatrujących podejrzanych sytuacji. Spotkałem gliniarzy traktujących pałkę jak zabawkę i takich, którzy pałki w ogóle nie chcą używać. Rozmawiałem z policjantem niechętnie oddalającym się od radiowozu i podążałem za takim, który odważnie, niezgodnie z zasadą maksymalnego bezpieczeństwa, sam ruszył w nie oświetlone zakamarki.

Brałem udział w pościgach i czasem sam żałowałem, że nie mam pałki, choć ostatni raz biłem się w szkole podstawowej. Denerwowałem się, gdy dowódca patrolu wydawał błędne decyzje, a obok milczał bardziej doświadczony, choć politycznie skompromitowany, policjant z wyższym stopniem i mniejszą władzą. Upokorzony słuchałem jak złodziej mnie wyzywał przekonany, że nic mu za to nie grozi.

Byli policjanci, którym chętnie powiedziałbym jak łapać złodzieja, by prokurator mógł go zamknąć i tacy, których bałbym się spotkać nocą, gdy biegną — mój bieg mogliby potraktować jak ucieczkę, a nim doszłoby do wyjaśnień, mógłbym oberwać. A jednak, choć nie chciałbym żyć w państwie policyjnym, którego funkcjonariusze są poza prawem, dziś bardziej boję się ulic, na których rządzi prawo pięści.

HAFCIARSTWO
AUTOMATYCZNE
ŁÓDŹ
ul. Morelowa 18, tel. 74-57-09.
57634-g

Rekord: dwa tygodnie rozkoszy

Przytulne Pico Bello

MARZENA MRÓZ

Niewielkiego wzrostu Leo Timmermans ma piękną żonę i dom na Karaibach. Ubiera się w miniaturowe, szare garnitury, nie ma przyjaciół. Swych dużych, brązowych oczu nie zwykł niczym przysłaniać. Mruży je rzadko, tylko wtedy, gdy mu się coś naprawdę podoba. Leo Timmermans jest właścicielem największej sieci domów publicznych w Holandii.

Podobno — jeszcze kilka lat temu — posiadał ich kilkadziesiąt. On sam przyznaje się dziś do kilkunastu. Pieniądze na otwarcie pierwszego „interesu" pożyczył od ojca. Po roku otworzył dwa następne.

Pico Bello jest — jak twierdzi Leo — jednym z przytulniejszych jego „klubów". Pracuje w nim 12 dziewcząt — czarnych i białych, grubych i chudych, mężatek i panien, ładnych i brzydkich. Każda z nich ma swój pokój z szerokim łożem, dużą wanną i lustrem na suficie. Dzień i noc, w pełnej gotowości czeka na klientów piątka dziewcząt — reszta odpoczywa.

Kolejny dzień w Pico Bello rozpoczyna się wieczorem. Pierwsi klienci stukają do drzwi stylową kołatką — około godziny 21.00. Na jej charakterystyczny dźwięk dyżurujące dziewczyny wychodzą ze swych pokoi w pełnym rynsztunku. Bezbłędnie wyczuwają gościa — wiedzą, że zastuka tylko raz. Szef, gdy wizytuje dom — kołacze dwa razy.

Tanecznym krokiem, w rytm muzyki schodzą na dół do olbrzymiego salonu. Siadają rzędem, jedna przy drugiej, niektóre trzymają się za ręce. To tak z czystej przyjaźni... — tłumaczyły mi potem. Wszystkie się uśmiechają.

Klient w tym czasie siedzi przy barku i popijając aperitif — bacznie je obserwuje. Kiedy już podejmie decyzję, informuje o niej przede wszystkim barmana. Dopiero on ogłasza oficjalny wyrok — wzywając dziewczynę po imieniu. A może po prostu ogłasza zwycięzczynię...?

Już po chwili „świeżo upieczona" para znika w pokoju na piętrze. A to jak długo tam będzie, zależy od grubości portfela i możliwości klienta, a przede wszystkim — od zdolności dziewczyny.

Jakie ONE są?

„Muszą być miłe" — twierdzi Leo. „Miłe, dopiero potem ładne. Raz się zdarzyło, że zatrudniłem dziewczynę, która była po prostu brzydka. Do dziś nie wiem dlaczego to zrobiłem. Nie wiem również dlaczego większość mężczyzn, którzy odwiedzali wtedy mój „geszeft" wybierało właśnie ją. Pewnie miała w sobie coś".

Dziewczyny trzymają się razem i jak zapewniają — nie rywalizują ze sobą. Wszystkie dostają jednakową pensję — 12 tysięcy (do wyboru) marek lub guldenów. Ta najlepsza dostaje dodatkowo 5 tysięcy ekstra. Większość wpłaca zarobione pieniądze do banku. Oszczędzają.

Pulchna blondynka Mija jest jedną z czterech zatrudnionych w Pico Bello holenderek. Jak sama zaznacza — nie znalazła się tu przypadkiem. Lubi seks, pieniądze i tę podniecającą niepewność — z kim zrobi to dziś wieczorem. Mija ma gest i szyk. Po nowe stroje jeździ do oddalonego o 150 kilometrów Amsterdamu — wynajętą taksówką.

Ciemnowłosa, zadumana Monika z Jugosławii przyjechała tu zarobić. Wszystkie pieniądze przesyła co miesiąc do domu, w którym czeka na nią matka i mały synek.

Somma — murzyńska piękność jest dumna i wyniosła. Taką już ma naturę. Swą dumę uparcie zwalcza przy pomocy whisky, której nie odmówił jej jeszcze żaden klient.

Kto TU przychodzi?

— Absolutnie wszyscy — stwierdza Leo — Ale pod warunkiem, że są mężczyznami. Kobietom wstęp wzbroniony, no... z wyjątkiem ciekawskich dziennikarek. Przychodzą tu młodzi i starzy, szczęśliwi i nieszczęśliwi. Dość często zdarzają się kalecy — bez nóg, bez rąk. Kilka razy na kwartał mamy wizyty pensjonariuszy pobliskiego szpitala dla psychicznie chorych. To dla nich urodzinowy prezent. Przychodzą w towarzystwie opiekuna — sanitarjusza, który cały czas czuwa nad nimi. Pomaga im w wyborze partnerki, a potem — w odbyciu stosunku.

Jak reagują wtedy dziewczyny? Oczywiście nie są tym zachwycone, ale odmówić — nie mogą. Owszem, zdarzają się sytuacje wyjątkowe jak np. taka, gdy do Pico Bello przyszedł brat jednej z dziewczyn i zapragnął spędzić noc ze swoją siostrą. Ponieważ ona nie chciała się na to zgodzić — Jos zaproponował mu inną dziewczynę, trochę podobną do tamtej. Po kilku godzinach klient wyszedł zadowolony.

„W Pico Bello jest przytulnie jak w domu" — twierdzi Leo. Ogromne pluszowe kanapy, przyćmione światło, francuskie piosenki. Nie wszystkich jednak podnieca ta atmosfera i Leo o tym wie. Stąd jego różnorodna oferta — kilkanaście domów publicznych — każdy inny.

Klub Nobless jest jego najmłodszym „dzieckiem".

TO jest TO — o czym Leo zawsze marzył. Biały przestronny — 22-pokojowy, wyposażony w najnowocześniejszy „sprzęt". Lustrzane ściany, okrągłe, wirujące łóżko, filmy porno na wideo, szeroki wybór wibratorów — w każdym pokoju. Jest również gabinet dla tych ze skłonnościami do sadomasochizmu i specjalnie do tego wyszkolone dziewczyny. W Nobless każdy może kupić sobie to, co naprawdę lubi.

Mip i Cilla, urocze, pulchne 23-letnie blondynki zdumiewająco podobne do siebie są bliźniaczkami i jak twierdzą — przez całe życie były jednomyślne. W Nobless pracują od pół roku w jednym — nie bez powodu — pokoju. Specjalizują się bowiem w miłosnym układzie pod tytułem „sandwich", który stali bywalcy klubu uznali za hit ostatniego sezonu.

Po „sandwichu" barman Rob poleca szampana. Podaje go w ilości kilkunastu tysięcy litrów — w 6-osobowej wannie. Można go nie tylko wypić, czy też wykąpać się, można w nim również popływać.

Klientów nie brakuje. Przychodzą codziennie — od kilkunastu do kilkudziesięciu. Zdarza się, że zostają w klubie dłużej niż jedną noc, rekordzista spędził w Nobless dwa tygodnie. Z kolei pewien Niemiec za dwadzieścia cztery godziny rozkoszy zapłacił bagatela — 15 tysięcy guldenów. Podobno chwali się teraz, że spróbował już w życiu wszystkiego.

Leo Timmermans jest kolekcjonerem i znawcą dzieł sztuki. Od lat kompletuje własną galerię obrazów. Szczególnie ceni sobie spokój i harmonię dzieł renesansu. Ma dziwną słabość do Boticelliego. Freski na ścianach jego ukochanego Nobless namalował brazylijski artysta, zainspirowany „Narodzinami Wenus" i „Primawerą". „Boticelli w burdelu!" — ponoć klienci są tym pomysłem zachwyceni.

Foto: Marzena Mróz

Jasełka polskie 1990

KONRAD FREJDLICH

KOLĘDNIK:

Świat dziś obiega, świat dziś obiega
nowina miła,
że demokracja, że demokracja
w Polsce się zrodziła.
Gwiazda wolności jasna rozbłysła
nad krajem, który przecina Wisła.
Nad Europą jarzy się łuna,
Polacy wolni, padła komuna.
Hej kolęda, kolęda.
Na całym świecie bucha z ekranów
Pełen obietnic głos mężów stanu,
Że doceniają i że już oto
Wiozą do Polski kadzidło, złoto,
Hej kolęda, kolęda.

GEORGE BUSH:

Nie opuścimy Polaków w biedzie!
Przykładem Polska dla świata będzie,
bo Pułaskiego dzielny ten naród,
wart jest, by dostać worek dolarów.
Wpierw niech sam jednak sobie pomoże.
Wtedy i Kongres przyzna coś może.

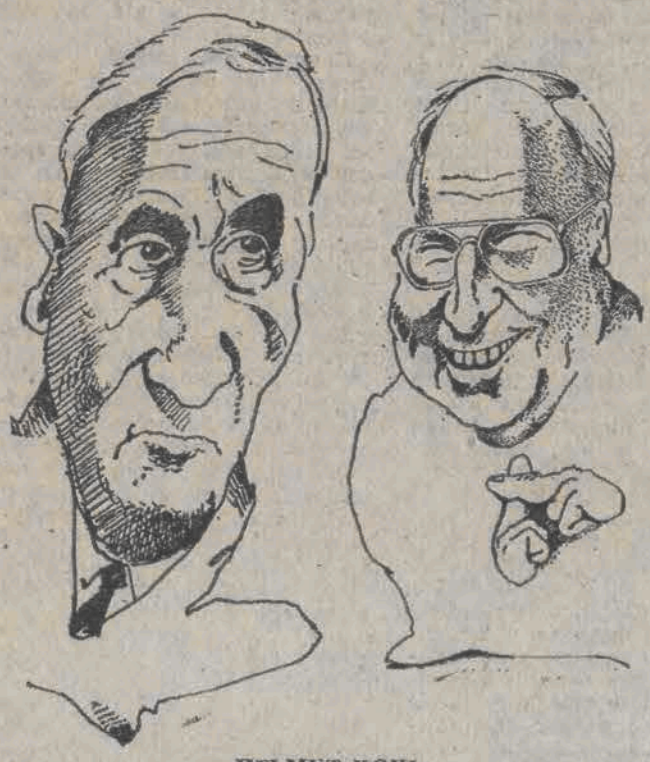

HELMUT KOHL:

Wiemy, że Wanda nie chciała Niemca,
lecz przebaczamy. Wolności tęcza
łuk swój rozciąga nad Europę.
Więc zapomnijcie, że jestem Szkopem.
Niech do przyjaźni to się przyczynia,
że Wandy krewna zmywa naczynia
w cichej piwiarni blisko Monachium.
Ach, jak te Polki zmywać potrafią.
I przekonają się niedowiarki,
co może sprawić blask mojej marki.

MICHAIŁ GORBACZOW:

Dobra nowina, dobra nowina,
głosi ją chętnie głos Moskwicina.
Więc posłuchajcie — urbi et orbi,
wolność i pokój daje wam Gorbi.
Breżniew był stary i miał sklerozę,
nadto się lubił bawić powrozem,
a ja mam dla was inne arkana,
Polska jest cacy, Polska kochana.
Więc jak się tylko dogadam z Kohlem,
z Armii Czerwonej Polskę wyzwolę.

TRZEJ MĘŻOWIE STANU (śpiewają):

Mówią o nas — świata mędrcy:
Jałtę przekreślamy.
Jak Polacy chcą pieniędzy,
niech się martwią sami.
Mamy mirrę i kadzidło,
towar eksportowy.
Złoto dawać nam obrzydło.
Problem to nienowy.

KOLĘDNIK:

A gdy z Polski przepędzono komunizmu widmo,
pacierze tylko słychać i pachnie kadzidło.
Wśród nocnej ciszy głos się rozchodzi bardzo znajomy,
Co rozcina kraty, mury rozwala i ciska gromy.

LECH WAŁĘSA:

Niech se każdy zapamięta,
że w temacie prezydenta
większej nie ma nikt charyzmy.
Przyrównują mnie do Dyzmy,
Urban mnie poparciem straszy,
Mnie i Miller nie jest straszny.
Ja niczego się nie boję.
Przyodzieję i napoję,
sto milionów dam każdemu,
a na świadka biorę niebo.
Bush, cóż Bush jest, Yankes tylko,

Kohla można przekłuć szp
aż bawarskie piwo tryśni
Polskę wam cudowną wy
Adaś będzie w niej spike
nominacji zrobię szereg.
Więc — bliźnięta. W imię
poślę ich na antypody.
Jeden będzie w Waszyngt
drugi w Moskwie gdzieś
Kto tam jeszcze? Prawda
posadkę mu w radiu znaj
A gdy w Belwederze stan
będzie Polska Lechistanem

TADEUSZ

Z dymem plakatów, z krz
do Ciebie, Panie, bije ten
Skarga to straszna, jęk t
ale już taki widać mój lo

Chciałem ja dobrze i solid
z „Solidarności" wszak by
Przyjmij, o Panie, świeczk
i mą dymisję przyjmij te
Przeszłość odeszła — to g
Chciałem swój naród do p
Lecz na swej drodze spot
i smutny jestem, smutna
Bo bratobójcze wybuchły
słowa-siekierki wszak pos
Więc jak słup soli teraz t
gdzie się zapodział jedność

Lecz wiem już dobrze —
i jeszcze pozna się na mn
Teraz dymisja. I władzy b
chwilowo, Panie, ty ze m

STAN

Nie mam orderów,
tylko żonę z Peru
i chwalę swój małżeński
Bo nie wie preria,
co to koteria,
lecz wie, co dolar, Tymiń
Wieść gminna niesie,
że robię w biznesie,
niejeden o mnie słyszał st
bierze mnie pokusa,
zrobić z Polski USA
jakem Tymiński Stan.
Wierzycie w Lecha,
marna to pociecha,
jaki jest polskich umysłów
Przez Stanisława
spłynie na was sława,
jakem Tymiński Stan.

KOH

Poszli. Przebrzmiały nocne
Ciicho! bo ktoś się skrada
Z głową spuszczoną, po k
wraca żołnierz radziecki d

W

Niegdyś mnie zwali wyzwo

…ką,
…ję,
…m,
…gody,
…ie,
…nie.
…jder.
…dę
…ę,
…n.

…MAZOWIECKI:

…rzą łzy bratniej,
…los,
…ostatni,
…s.

…mie,
…to rząd.
…ofiarne
…stąd.
…ja krecha.
…zodu wieść!
…dem Lecha
…ma pieśń.
…hoję,
…y w ruch,
…stoję:
…duch?

…w we mnie drzemie
…Sejm.
…ziemię
…zdejm.

Rys. Dariusz Romanowicz

…YMIŃSKI:

…tan.

…ki Stan.

…an,

…v stan?

…EDNIK:

…kroki.
…w mroku.
…yjomu,
…do domu.

…ANIA:

…olicielem,

Byliśmy górą, byliśmy na czele.
A dziś nas nie chcą w całej Europie,
Ech, Wania, Wania, ponimajesz, chłopie?
Byłem ja w Pradze, byłem ja w Berlinie,
marzyłem o Maszy, o swojej dziewczynie.
Sprzedałem na rynku nowiutką rakietę
za noc upojną. Chciałem mieć kobietę.
Później sprzedałem i Kałasznikowa
za skrzynkę wódki. Nie moja w tym głowa
o czym radzą przywódcy czerwoni na Kremlu.
Oni się nie martwią, co się stanie ze mną.
Gotuje się we mnie moja ruska dusza.
Kiedy wszystko sprzedam, do ojczyzny ruszam.

TURYSTA-KOMERCJALISTA (zbliżając się):

Tośmy bracia, miły Wania!
Nas też zewsząd chcą przeganiać.
Czy to w Pradze, czy w Berlinie,
wszędzie wolny handel ginie.
Liberalne mam poglądy,
prawicowe czuję prądy,
lecz cła wszędzie lub zapory.
Mówię ci, ten świat jest chory.
Polakom to nie pierwszyzna,
więc niech uczy się ojczyzna,
jak handlować trza ze światem.
Możem przecie być bogate.
Ale co tam, nie mam żalu,
bo dwa „TIRy" ja „Royalu"
sprowadziłem loco Kalisz.
Dobry, zacnie w garle pali.
A że patryjota ze mnie
(jeszcze trochę, będę w Sejmie)
to tak, na wypadek wszelki,
w polskie zlałem go butelki.
Przeciem z uczuć nie wyzuty,
poparłem rodzime huty.
Teraz złoto ze mnie kapie.
Przykład ze mnie bierz, kacapie.

KOLĘDNIK:

Poszli sobie pomoc świadczyć.
Świat to niezły jest teatrzyk
niech im szczęście odtąd sprzyja,
polsko to radziecka przyjaźń.

BEZROBOTNY (nadchodząc):

Z awansu byłem, młodzian spod Łowicza,
aż mnie zdegradował plan Balcerowicza.
Danaż moja dana, ojczyzno kochana,
nie bądź mi macochą i daj pożyć trocha.

Domem był mi długo hotel robotniczy,
a tych godzin w tkalni, chyba bym nie zliczył,
Danaż moja dana, ojczyzno kochana,
Weźcie ten zasiłek, wsadźcie go se w pilę.

Mówią wracaj na wieś, chłopcze spod Łowicza.
lecz ta propozycja coś mnie nie zachwyca.
Danaż moja dana, ojczyzno kochana,
trza mi mercedesa, a tu pusta kiesa.

Wyrobię se paszport, pojadę gdzie trzeba,
dolary i funty rosną tam na drzewach.
Danaż moja dana, ojczyzno kochana,
wypnę się na ciebie, bom sam jest w potrzebie.

KOMUNISTA (skradając się):

Ludu pracujący miast i wsi,
znowu gotują los ci psi.
Ktom ja? Rzecz to oczywista,
ostatni jestem komunista.
Robią na mnie polowania,
mówią, żem jest kawał drania,
nie zabrania im kultura
twierdzić, żem nomenklatura.
W Sejmie, także i w Senacie,
chcą ostatnie zdjąć mi gacie.
Mym kapitałem jest „Kapitał".
To prawda, Marksa jam nie czytał,
bo cechowała mnie pokora.
Notatnik lecz, agitatora,
na pamięć znam i na wyprzódki,
i tylko nie ma mojej trzódki.
Napisał go towarzysz stary,
bolszewik prawy Minc Hilary.
Nie odkryję Ameryki:
trzeba wrócić do klasyki.

Właśnie leśną partię zbieram,
jeszcze przyjdzie nowa era.
Sierp i młot nam będzie bronią.
Laur zawiśnie nam nad skronią,
Idziesz ze mną?

BEZROBOTNY:

Daj mi spokój.
Szał wyziera ci ze wzroku.
I mówią jaskółki,
że niedobre spółki.

KATECHETA:

Święte słowa. Dziś potrzeba,
spuścić się na wolę nieba.
Gdy się wokół szatan sroży...

KOMUNISTA:

Któś ty?

KATECHETA:

Sługa Boży!
Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem,
stąd niedaleko jest szkoła.
Mam tam kaplicę, grzechy wasze zmażę,
do Boga za was zawołam.
Modlę się za was ranki i wieczory,
a dziatwa niewinna ze mną.
Zaraz przełamię wasze opory,
światło niech wyprze ciemność.
Pójdźcie, o dziatki, wszystko jest w instrukcji,
a człek jest tylko człowiekiem.
Trzeba nam teraz do korzeni wrócić,
przegnać komunę na wieki.

KRZYSZTOF KOCEL (wyrastając jak spod ziemi):

Quo vadis, ojcze? Chętnie pójdę z tobą,
na pohybel piekłu, na pohybel wrogom.
Niezależny jam dziennikarz,
konfrontacji nie unikam,
choć rad słucham oraz Rady,
i z możnymi jem obiady.
Wszystko, co wyciągnę z gości
zaraz pcham do „Wiadomości",
bo mam talent i doktorat.
I nadeszła moja pora.

MAREK MARKIEWICZ (wyłania się powoli):

Elegancji jam arbiter,
i siły mam niespożyte,
mogę przecież, wszak nie kłamię,
tkwić godzinę na ekranie,
z wdziękiem, gracją, elokwencją,
taką chlubię się potencją.
Gdy pewnego razu Drawicz,
chciał na baczność mnie ustawić,
wziąłem urlop. I wiesz, ojcze,
każdy kij ma wszak dwa końce,
ja właściwy ten wybrałem.

KATECHETA:

Będziem głosić twoją chwałę.

ANDRZEJ SŁOWIK
(nadchodzi, przyglądając się odchodzącym):

Różnie o mnie mówią różni.
Natura nie znosi próżni.
Jak się zwolni miejsce w Gdańsku,
to pożegnam się po pańsku,
i choć Pan Bóg nierychliwy,
tam poszukam perspektywy.
Kierownicze mam talenta,
mój autobus mnie pamięta.
Niech się wszystko uspokoi,
bądźmy braćmi, bracia moi,
pokierujmy wszystkim sami,
ale bądźmy związkowcami.
Najgorszy się wariant ziścił.
Skąd jest tyle nienawiści?
Skąd te kłótnie, spory, waśnie?

KOLĘDNIK:

A to, szefie, Polska właśnie.

Lotnicy

RYSZARD BADOWSKI

Na ulicach Warszawy w otoczeniu asysty konnej policji

12 grudnia 1974 roku leciałem samolotem „Chopin" do Nowego Jorku z Warszawy i gwarzyłem z sąsiadem o tym, jak to czterdzieści lat temu dwóch amerykańskich Polaków wybrało się do kraju samolotem „City of Warsaw", gdy nad oceanem nie było jeszcze regularnych linii powietrznych i nie latały nad nim odrzutowce. Mój towarzysz podróży odezwał się na to: „To byli moi krewni".

Mecenas Ryszard Czarkowski z Warszawy ożenił się z córką Zofii Hejno z domu Spirydonowicz, której dziadek Jan Hejno miał pięć córek. Jedna z nich, Anna, wyszła za mąż za Juliana Adamowicza. Mieli ośmioro dzieci, w tym Józefa i Bolesława Adamowiczów, o których będzie ta opowieść.

LOT PO SŁAWĘ — ALBO PO ŚMIERĆ

Braci Adamowiczów, mieszkających na stałe w Stanach Zjednoczonych, zafascynował samotny przelot Charlesa Lindbergha z Nowego Jorku do Paryża w maju 1927 roku. Wtedy właśnie ci dwaj prości i wcale niezamożni ludzie zainteresowali się lotnictwem i postanowili dokonać podobnego przelotu do Polski.

Na przeszkodzie stanął im brak pieniędzy oraz... podstawowej znajomości pilotażu. Pieniędzy dorobili się po kilku latach z produkcji wody sodowej. Nauczyli się także latania. Bolesław spędził w powietrzu 500 godzin, Józef mniej. Nie miał właściwie licencji pilota. W 1933 roku zdecydowali się na przelot nad oceanem własnym samolotem. W zbiorku „Polskie skrzydła nad światem", który ukazał się nakładem wydawnictwa MON w 1960 roku, znalazłem ich wspomnienia zatytułowane „Jak przelecieliśmy Atlantyk". Samolot „Bellanca Y-300" kupili za 22000 dolarów. Część pieniędzy pochodziła ze sprzedaży ich poprzedniego samolociku turystycznego, na którym w 1932 roku zdobyli nagrodę ufundowaną dla amatorów przez wdowę po słynnym lotniku Floydzie Bennecie. Resztę dołożyli ze wspomnianej nagrody. Zaciągnęli też pożyczki.

Szczęście przeplatało się w ich życiu z pechem. Mechanik, którego wynajęli do przygotowania maszyny na długi lot, zatarł im silnik. Trzeba się było postarać o kolejne 2750 dolarów na remont. Nie liczyli na pomoc Polonii, która dopiero co składała się na samolot dla Stanisława Hausnera. Ten był pierwszym Polakiem ze Stanów Zjednoczonych, który w czerwcu 1932 roku podjął próbę przelotu nad Atlantykiem do kraju. Spadł do morza. Został wyratowany, lecz wkrótce ponowił próbę i zginął.

„Choćby nam nawet przyszło stracić fabrykę — polecimy" — postanowili bracia Adamowiczowie. I znów pech. Z relacji Bolesława wynika, że samolot znowu uszkodził mechanik, mający licencję pilota, tym razem lądując nieprawidłowo na kamienistym gruncie.

Teraz z pomocą przyszła im rodzina. Każdy, kto miał cokolwiek oszczędności, wszystko im dał. Godzina lotów treningowych kosztowała ponad siedem dolarów (a ich wartość była wówczas znacznie wyższa niż obecnie). Za naprawiony motor spłacali raty po 150 dolarów miesięcznie. Starając się o zezwolenie na lot do Polski musieli zapłacić w Departamencie Stanu 75 dolarów na koszt porozumienia się telegraficznego władz amerykańskich z krajami, przez które mieli przelatywać do Polski.

Lindbergha czekała w Paryżu nagroda 25000 dolarów. Ich ce najwyżej sława. Albo śmierć w wodach Atlantyku, jak Hausnera.

„BOŻE, ZLITUJ SIĘ NAD NAMI!"

Pamiętnik prowadził w czasie lotu Bolesław Adamowicz. Pisał w podręcznym notatniku po angielsku. Kiedy przebyli niemal ćwierć Atlantyku (wystartowali ostatecznie 29 czerwca 1934 roku) napisał jednak po polsku: „Boże, zmiłuj się nad nami!". Byli wtedy na wysokości 10000 stóp. Nagle do wnętrza samolotu wtargnęło ostre zimno. Wszystkie instrumenty i części metalowe zaczęły pokrywać się szronem. Gołą ręką nie można było dotknąć metalu. Spadła o 30 stopni temperatura oleju. Maszyna przestała reagować na stery. Jednocześnie szybkość samolotu wzrosła ze 110 do 160 mil. „Zrozumiałem — spadamy. I to szybko".

Bolesław twierdzi, że to Józef napisał wtedy polskie słowa modlitwy. Tak czy owak, pomogły. Może dlatego prasa polska, kiedy się o tym dowiedziała, nazwała ich „lotnikami z bożej łaski"?

Prawdopodobnie obmarzły skrzydła i ten ciężar ciągnął ich ku dołowi. Wpadli jednak w burzę i deszcz przemył im szyby oraz spłukał lód z samolotu.

Potem trzy godziny lecieli w tej burzy. W samolot biły pioruny. W jedenastej godzinie lotu główny bak, zawierający zapas paliwa na 15 godzin, okazał się pusty. Joe zaczął przelewać do zbiornika paliwo z baniek. Przy okazji oblał benzyną kurę, która miała stanowić główne menu. Powędrowała do oceanu. Przez całą drogę zjedli tylko dwie pomarańcze.

Ich relację czyta się ze wzruszeniem, niekiedy ze ściśniętym sercem, w niektórych miejscach z rozbawieniem. Podlatując do lądu europejskiego zobaczyli jakąś wyspę, ale nie potrafili jej zidentyfikować. Nad lądem pogubili się dokumentnie i próbowali zniżyć się, aby odczytać nazwę jakiejś stacji kolejowej. Wreszcie zdecydowali się na lądowanie na małej łączce. Rozpędzili krowy, ścięli małe drzewko, uderzyli w płot. Samolot niewiele ucierpiał.

Kiedy wyszli z maszyny, Joe (brat przez cały czas tak go nazywa) powiedział: „Podziękujmy Bogu, mogło być gorzej". Wnet nadbiegł jakiś chłop. Zapytali go: „Jaki to kraj"?

WARSZAWA ZWARIOWAŁA

Po kilku godzinach znalazł się na miejscu Stefan Jamiołtowski, od 30 lat zamieszkały we Francji. Zajął się nimi serdecznie, zatelegrafował do Paryża i Warszawy, że z nieba spadli dwaj Polacy z Ameryki.

W Paryżu lał się szampan. Podejmował ich ambasador Chłapowski. Od niego usłyszeli, że Polska cieszy się, iż udało im się przelecieć nad oceanem.

Nad Niemcami trzymali się ściśle busoli. Joe sprawdzał mapy i zapewniał, że są na dobrej drodze. Ale nadal gubili benzynę. Musieli lądować w Brandenburgii. „Porządek tam był doskonały. Nie pozwolono ludziom podchodzić zbyt blisko do maszyny ani palić w pobliżu samolotu". Benzynę udało się ściągnąć dopiero następnego dnia.

Po kolejnym starcie Joe zawołał, kiedy minęło zaledwie pół godziny: „Ben, jesteśmy nad Polską". Bolesław w tym miejscu napisał: „To była najpiękniejsza chwila, jaką człowiek może przeżyć. Przecież 23 lata temu wyjechałem stąd jako mały chłopiec, niewiele jeszcze wiedząc o tym, co to naprawdę jest Polska!

O 11 rano dostrzegli Wisłę. Lądowali w Toruniu (myśleli, że to Warszawa), gdzie wszyscy już wiedzieli o ich locie. Powiedziano im, że stolica spodziewa się ich o piątej po południu. „Najprzyjemniejsze było to, że wszyscy dookoła mówili po polsku". Pierwszymi upominkami, jakimi obdarzono ich na ziemi polskiej, były medale miasta Torunia.

W dalszą drogę odprowadziła ich wojskowa eskadra honorowa. Nad Modlinem samolot Adamowiczów przejęła eskadra warszawska. Dziewięć maszyn poszło przodem, trzy otoczyły

z bożej łaski

„Bellancę". Wkrótce lądowali na Polu Mokotowskim wśród lasu podniesionych powitalnie rąk...

Na tym urywa się relacja Bolesława Adamowicza, spisana przez Stanisława Struph-Wojtkiewicza, a przytoczona w zbiorku „Polskie skrzydła nad światem". Co było dalej wiem z teczki Adamowiczów, otrzymanej od pana Ryszarda Czarkowskiego.

Jest w niej fragment wypowiedzi Melchiora Wańkowicza: „Warszawa szaleje. Pcham się swym fordzikiem, w zgiełku oszalałych innych wozów za samochodem, którym tłumnie wiozą ich do „Bristolu" w eskorcie konnej policji. Witają ich szampanem, ale rozentuzjazmowani warszawiacy słyszą przez radio: „Dżenkujemi dla polski rodaki, prosimy zimny pywo".

Był też w teczce tekst Bohdana Aretа, zatytułowany „Bracia z Ameryki". Kilkanaście stron maszynopisu. Zapewne fragment wydrukowanej gdzieś większej całości, którą im ktoś nadesłał. W nim charakterystyczny passus: „Józef i Bolesław zdecydowali się za wszelką cenę dorównać „Lindberghowi".

Ulica warszawska z miejsca poczuła sentyment do przybyszów zza oceanu. Trafnie dostrzegła, że ci dwaj niepozorni, niewielkiego wzrostu mężczyźni, to ludzie o zgoła nieprzeciętnej fantazji, kontrastującej z ich nieco gapiowatym wyglądem i nieporadnym zachowaniem. Powitanie Adamowiczów prześcignęło wszystko, co dotychczas oglądano na polskich lotniskach. Można je było porównać jedynie z owacją na cześć Żwirki i Wigury po zajęciu przez nich pierwszego miejsca na RWD-6 w międzynarodowych zawodach Challenge 1932, kiedy pobili na głowę najgroźniejszych, niemieckich rywali.

W teczce otrzymanej od Ryszarda Czarkowskiego znalazłem dalsze szczegóły wydarzeń na Polu Mokotowskim. Relacja Józefa Adamowicza: „Boże, co za chwilą był ten koniec naszego wielkiego lotu! (...) Ledwie samolot dosięgnął ziemi i toczył się ku tłumom, gdy ludzie zakotłowali się i wraz z konnymi jeźdźcami (z powietrza Adamowiczom wydawało się, że wita ich jakaś kawaleria, była to jednak policja konna — R.B.) ruszyli na nas. Choć byli o jakieś trzysta metrów, krzyknąłem bratu „gaś", bo śmigło łatwo mogło kogoś zabić. Wielu pieszych wyprzedziło jadących pełnym kłusem policjantów. Nim całkiem stanęliśmy, otoczył nas tłum ludzi. Byli tam młodzieńcy i starsi, panny, wojskowi, jakieś chłopaki. Spojrzałem na zegarek. Było dwie minuty po piątej tego nigdy nie zapomnianego dnia 2 lipca 1934 roku!".

Tłum porwał „braci z Ameryki" na ręce, zaniósł do samochodu (w relacji Józefa: „rzucił do jakiegoś auta"). Lotników obsypano kwiatami. Grały orkiestry. Dziesiątki tysięcy ludzi śmiało się, płakało, machało rękami i przede wszystkim krzyczało. Było dokładnie tak, jak przy powitaniu Lindbergha w Paryżu.

Otoczeni dwoma sznurami policji konnej, wyprzedzani korowodem aut, ruszyli wreszcie. Znów Józef: „Jeszcze chwila, a pokryłoby nas mrowie ludzkie".

Otrzymali dwa apartamenty w „Europejskim" (wydaje się, że Melchior Wańkowicz pomylił się z „Bristolem"). Tłumy stały przed hotelem niemal całą noc. Znoszono im listy i depesze, dzwoniły telefony. Bracia byli nieco zdziwieni, że mają mieszkać oddzielnie. „Nie razem to nam spać, jak zawsze, jeśli się razem żyło i leciało?".

DALSZE SPLENDORY

Melchior Wańkowicz nazywa ich „mińczukami". W rzeczywistości urodzili się w rodzinie chłopskiej we wsi Janowszczyzna na ziemi wileńskiej. Józef (rocznik 1893) wyjechał do Stanów Zjednoczonych w 1907 roku, jako 14-letni chłopiec. W cztery lata później ściągnął tam Bolesława (rocznik 1893, który wtedy miał 13 lat. Pracowali początkowo jako niewykwalifikowani robotnicy. Nie zdobyli żadnego wykształcenia. Mówiąc szczerze, kaleczyli nie tylko język polski. Po angielsku też mówili słabo. Sława nie zmieniła ich charakterów ani upodobań. Wtedy, w ekskluzywnym hotelu warszawskim, też postawili na swoim: po dwóch oddzielnie spędzonych nocach pozwolono im zamieszkać razem.

Nazajutrz po przylocie w towarzystwie przedstawicieli Aeroklubu Rzeczypospolitej odwiedzili Zamek i rezydencję marszałka Piłsudskiego w Belwederze. Nie mogę zorientować się z ich notatek, czy zostali przyjęci przez dwie najważniejsze osoby w państwie. Znajduję jedynie słowa o wpisaniu się do księgi przyjęć. Potem wizyta u ambasadora amerykańskiego i premiera Leona Kozłowskiego. Któż mógł przewidzieć, że ten działacz BBWR ucieknie w 1941 roku z Armii Andersa w ZSRR, przejdzie na stronę Niemców, za co otrzyma zaocznie wyrok śmierci polskiego sądu wojennego i zginie w Berlinie, prawdopodobnie od amerykańskiej bomby?

Na dwu bardzo prostych Polaków z Ameryki spadają dalsze splendory. Przyjmuje ich szef lotnictwa wojskowego gen. Rayski. Zapraszają generałowie Berbecki (prezes Ligi Obrony Powietrznej Państwa, Orlicz-Dreszer (prezes Ligi Morskiej), Sławoj-Składkowski, prezes Aeroklubu RP książę Radziwiłł. Każdy zbija na tych spotkaniach swój własny kapitał polityczny. Najmilej wspominają czas spędzony z lotnikami. Najbardziej dziwią ich wizyty różnych natrętów: „Każdy z jakąś dziwną propozycją. Jedni, aby browar kupić, drudzy, żeby fabrykę nici założyć". A najwięcej — jaka ta Polska niezmienna — próśb o wsparcie.

LOS SAMOLOTU, LOS LUDZI

Józef i Bolesław Adamowiczowie wrócili do USA statkiem Polskich Linii Oceanicznych. Ich „Bellanca" pozostała w Polsce. Kupił ją Zarząd Główny LOPP. Po remoncie, w czasie którego usunięto dodatkowe zbiorniki na paliwo, wykonano drzwi otwierane do wewnątrz oraz fotele, miała służyć do szkolenia skoczków spadochronowych. Samolot z powodzeniem spełniał swą rolę aż do wybuchu wojny.

W 1970 roku zainteresował się jej dalszymi losami amerykański dziennikarz Charles Atwell, który wydrukował duży artykuł na ten temat w „Sunday Record". Twierdzi on, że rząd polski nigdy nie zapłacił Adamowiczom obiecanych 22 000 dolarów (zwrot kosztów własnych), a samolot „Bellanca" został zniszczony w czasie II wojny światowej. Artykuł kończy się słowami: „Dzisiaj Ben i Joe mieszkają w Brooklinie we własnym domu. Mając po 70 lat i nie najlepsze zdrowie niewiele mają do roboty poza przesiadywaniem przy oknie brooklyńskiej ulicy i wspominaniem swoich przeżyć".

Było to w czerwcu, a w grudniu polonijna gazeta „Nowy Świat" doniosła, że pod koniec listopada 1970 roku zmarł Józef Adamowicz. Autor notatki nie omieszkał dodać, że w Janowszczyźnie koło Starej Wilejki, w ojczystych stronach zmarłego, „nienawistni okupanci urządzili sowiecki kołchoz".

Od mecenasa Czarkowskiego dowiedziałem się o dochodzeniu przeciwko Adamowiczom po ich powrocie z Polski — w sprawie potajemnej wytwórni alkoholu. Twierdził, że w tarapaty Bolesław i Józef wpadli z powodu nieotrzymania z Polski zwrotu kosztów nabycia samolotu. Wierzyciele, od których zaciągnęli pożyczki, coraz ostrzej domagali się należności. Wytwórnia wódek podupadła. Wtedy Adamowiczowie wzięli wspólnika, który okazał się hochsztaplerem. Naruszył amerykańskie przepisy prohibicyjne, za co oni — jako właściciele — zostali ukarani więzieniem (ponad rok) i zbankrutowali z kretesem.

W moje ręce trafiły 32 zdjęcia. Najcenniejsze — oryginały z Polski. Jedno z powitania w Łodzi 17 lipca 1934 roku.

Tyle ode mnie w tej przedziwnej sprawie. Choć z opóźnieniem, spełniłem swój obowiązek. Moje notatki z pokładu samolotu „Chopin" kończyły się słowami krewnego braci Adamowiczów: „Oni muszą być także dziś sławni. O nich cała Polska musi wiedzieć".

Powitanie w Łodzi.

Sąsiedzi omijają „Monar" z daleka

Na wylot

MAGDALENA GROCHOWALSKA

16-letnia Asia została narkomanką po przeczytaniu „Pamiętnika narkomanki".

— Chciałam go sprawdzić na własnej skórze — mówi.

W ten sposób książka pisana „ku przestrodze" stała się początkiem nowej tragedii. Asia zaczęła od proszków uspokajających. Najpierw brała dwa, potem trzy, cztery...

— Proszki mnie otumaniały. Pierwszy raz zażyłam je przed klasówką. Przestałam się bać. Poczułam się pewniej. Od tej pory zażywałam je ciągle. Ostatnio nawet 3 razy dziennie.

Środki uspokajające (oxazepam, relanium, sinequan, aviomarin), wkrótce stały się dla Asi za słabe. Przeszła więc na wąchanie. Tak opisuje swój „pierwszy raz":

— To było nad rzeką. Najpierw piliśmy z kolegami wódkę, potem wąchaliśmy rozpuszczalnik. Było fantastycznie. W nogach czułam mrowienie. Ciepło przechodziło po całym moim ciele, a w głowie zaczęło mi trzeszczeć. To było takie trzeszczenie, jakie słyszy się przechodząc koło słupów elektrycznych. Poczułam się bezwładna i spokojna. Potem pojawiły się wizje. Były to takie urywane obrazy. Raz wydawało mi się, że jadę traktorem, innym razem, że jakiś pan łowi dla mnie ryby.

Wkrótce wódkę Asia zastąpiła spirytusem kamforowym i salicylowym, a rozpuszczalnik farbą olejną i klejami. Wszystko to jednak pochłaniało sporo pieniędzy. Asia najpierw wydawała kieszonkowe, potem podkradała pieniądze matce. W końcu zaczęła oddawać złote kolczyki i pierścionki za jedną butelkę taniego wina. Po biżuterii poszły w ruch kasety magnetofonowe i modne ciuchy, jakich nigdy nie szczędziła jej matka. Wkrótce jednak przyjemne wizje przeszły w koszmarne.

— Raz wydawało mi się, że stoję pod mostem, a most wali się na mnie — opowiada Asia. — Słyszałam detonacje i potwornie się bałam. Innym razem widziałam myszy pod łóżkiem i walący się na mnie sufit. Do tego dochodził potworny strach. Taki strach, który przenika na wylot. Bałam się nawet przechodzić sama przez jezdnię. Kiedyś po ćpaniu dochodziłam do siebie po 2—3 godzinach, teraz potrzebowałam na to aż 6 godzin. Po wypiciu alkoholu zaczynały mi sztywnieć palce, drgała powieka i policzek. Kiedy nie ćpałam, dostawałam atak. To był potworny ból głowy i brzucha. Czułam każdy mięsień, byłam agresywna. Płakałam i śmiałam się na przemian. Z oczu leciały mi łzy, a z nosa krew.

Asia trafiła do „Monaru" w Łodzi przy ul. Tuszyńskiej 106.

— Ja naprawdę chcę się wyleczyć — mówi. — Już dłużej nie zniosę tych ataków. Wczoraj dostałam drgawek, wiłam się z bólu. Dziś bolą mnie nogi, ale już mnie nie trzęsie. Mam nadzieję, że z każdym dniem będzie lepiej.

Asia też pisze pamiętnik. Chce, aby w przyszłości był przestrogą dla innych młodych ludzi. Oby tylko nie posłużył za przewodnik! 14-letni Piotruś wąchał klej. Przez 4 miesiące, regularnie co 1-2 dni. Myślał, że wąchanie jest „bezpieczne", bo wąchając nie zaraża się AIDS i nie uzależnia. Co do tego drugiego mylił się.

— Czułem się zdrowy i lekki — opowiada z entuzjazmem. — Miałem fantastyczne przywidzenia. To były fragmenty z filmów science-fiction. Widziałem z bliska gwiazdy, statki kosmiczne i UFO-ludki. Raz dostałem od nich zastrzyk z błota, po którym zrobiło mi się jeszcze lepiej. Ale kiedyś było mniej przyjemnie: UFO strzelało do mnie z zapałek. Nakrył mnie brat. On pracuje w pogotowiu. To przez niego znalazłem się w „Monarze".

Po czterech miesiącach wąchania Piotruś uzależnił się. Jego organizm w brutalny sposób domagał się narkotyku.

— To było potworne — opowiada. Gdy kończyły się wizje, zaczynał się ból głowy, brzucha i wymioty. Czułem się tak osłabiony, że nie mogłem nawet podnieść kosza ze śmieciami.

Piotruś dowiedział się od lekarza, że gdyby wąchał jeszcze 2 miesiące miałby nieodwracalne zmiany w mózgu. Nie wiedział o tym tak, jak nie wiedzą setki innych wąchaczy.

Kierowniczka „Monaru" przy ul. Tuszyńskiej, Bożena Messerschmidt zna narkomanów jak własną kieszeń.

— Narkomani to zazwyczaj dzieci nie chciane i nie kochane. Człowiek jest jak silnik podłączony do akumulatora, którym jest miłość. Bez akumulatora silnik jest do niczego. Tak właśnie jest z narkomanem. Aby zapomieć o swoim nieszczęściu, zaczyna ćpać. Otępienie i urojenia zastępują mu miłość. Narkoman to człowiek nieszczęśliwy i odrzucony przez społeczeństwo. To smutne, ale ustawa antyaborcyjna będzie produkować takich ludzi seryjnie.

Program terapeutyczny łódzkiego „Monaru" przewiduje dwuletnie leczenie (pobyt) narkomana w ośrodku. W ciągu tych 2 lat narkoman staje się kolejno: lokatorem, nowicjuszem, domownikiem, opiekunem, twórcą i mieszkańcem. Lokator w ciągu jednego miesiąca zapoznaje się z kolegami oraz przyswaja normy i zasady panujące w ośrodku. Jest on zobowiązany do bezwzględnego przestrzegania regulaminu „Monaru". Nie wolno mu prowadzić rozmów telefonicznych, posiadać zegarka, pieniędzy, dokumentów ani żadnych przedmiotów wartościowych, nie wolno pić mocnej kawy i herbaty, zażywać środków farmaceutycznych bez wskazań lekarza ani obsługiwać samemu sprzętów elektrotechnicznych. Lokator nie chodzi do szkoły i posiada opiekuna — starszego kolegę, który nie odstępuje go na krok. Każdy, kto przejdzie pomyślnie przez ten etap, staje się nowicjuszem. Nowicjusz — mówią wychowawcy — nie ma jeszcze sam wystarczająco dużo siły, aby wygrać walkę z nałogiem, więc musi zdać się na innych i być posłuszny bardziej doświadczonym kolegom.

Kolejny etap to domownik. Zadaniem domownika jest przygotowanie się do świadomej walki z własnymi słabościami. Domownik musi nauczyć się samokontroli i samodyscypliny. Musi dbać o porządek w domu, aktywnie uczestniczyć we wszystkich pracach na jego rzecz, pomagać słabszym i podjąć naukę szkolną. Ponadto domownik jest zobowiązany do pracy z lokatorami i nowicjuszami nawet do godziny 18, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mimo tych wszystkich obowiązków być domownikiem jest dobrze, gdyż można przyjmować raz w miesiącu gości, telefonować i prowadzić korespondencję. (Wcześniej było to zabronione). Jeśli domownik pozytywnie wywiąże się ze swoich obowiązków, staje się opiekunem.

Zadaniem opiekuna jest uczenie się ujawniania, wyrażania i świadomości własnych emocji i uczuć. Dla młodego człowieka z „narkotykową" przeszłością jest to bardzo trudne. Opiekun uczy się czerpać radość z możliwości bycia potrzebnym, z przebywania z innymi i niesienia im pomocy. Opiekun jest odpowiedzialny za swego podopiecznego. Wraz z obowiązkami zwiększają się też prawa opiekuna. Może on samodzielnie opuścić ośrodek po uprzednim poinformowaniu o tym społeczności „Monaru" ma prawo do spędzania wolnego czasu w dowolny sposób, może wyjeżdżać na przepustki (w towarzystwie wychowawcy). Kiedy społeczność uzna, że opiekun wywiązywał się dobrze z narzuconych mu obowiązków, przechodzi on o szczebel wyżej stając się twórcą.

Twórca ma odnaleźć siebie i stworzyć wizję własnej, najbliższej przyszłości, w oparciu o wiedzę na swój temat zdobytą w ośrodku. Odwiedzanie domu rodzinnego nie jest dla niego nagrodą, ale obowiązkiem, tak jak obowiązkiem jest ustalenie swojej sytuacji rodzinnej, kontynuowanie nauki i rozwijanie zainteresowań. Poszerza się też zakres praw twórcy. Ma on prawo do podjęcia pracy zarobkowej, opuszczania ośrodka bez zgłaszania tego społeczności, zaprzestania pracy na rzecz ośrodka, jeśli wcześniej przedstawi ku temu ważne powody, wyjeżdżania samodzielnie na przepustki (nie częściej jednak niż raz w miesiącu).

Ośrodek „Monaru" przy ul. Tuszyńskiej nie jest ośrodkiem nowym, choć takie można odnieść wrażenie, patrząc na wyremontowany dom. Pokoje są piękne: drewniane meble, obity drewnem sufit i ściany.

— Samo przerobienie strychu na pokoje kosztowało 100 milionów zł. — mówi główna księgowa Teresa Skolasa. — Kierowniczka chce, by ośrodek przypominał dom, ale czy pensjonariusze potrafią to uszanować? Przed remontem wydawaliśmy bajońskie sumy na nowe szyby, krany, muszle klozetowe. Narkomani w głodzie narkotycznym potrafią powybijać szyby, pourywać krany, rozbić umywalki. Zdarzało się, że narkomani-sataniści malowali na ścianach diabły. Przed remontem ten dom był ruiną nie tylko ze starości, ale przede wszystkim za sprawą jego mieszkańców. Dopóki pensjonariuszy jest mało, można utrzymać porządek, ale co będzie, gdy pensjonariuszy przybędzie?

W ośrodku pracuje na zmianę 3 wychowawców. Jeszcze przed remontem jeden z narkomanów ukradł wychowawcy ponad milion złotych i uciekł nie zauważony przez nikogo.

Najważniejsza w całym ośrodku jest sala terapii. To przede wszystkim terapia ma przywrócić narkomana społeczeństwu. Na ścianie sali wisi „dekalog narkomana", czyli 18 warunków wyleczenia. Są to: abstynencja, nieagresja, motywacja w leczeniu, uczciwość i nieukładowość, zaufanie społeczności, pokora, zaangażowanie, autentyzm, chęć pomocy ludziom, negacja przeszłości, przełamywanie własnych słabości, poszukiwanie celów w życiu, poznanie siebie, szczerość, aktywne uczestnictwo w społeczeństwie, szacunek dla siebie i innych, poszanowanie swojej i cudzej własności, życzliwość.

Czy przestrzeganie wszystkich tych przykazań jest receptą na całkowity powrót do społeczeństwa?

— To, czy narkoman po wyjściu z „Monaru" wróci do społeczeństwa czy nie, zależy tylko od niego — mówi Bożena Messerschmidt. — Czasem jest on pełen dobrych chęci, a mimo to wraca do nałogu. Trzeba pamiętać o tym, że narkomani to głównie nastolatki. Oni nie przechodzą okresu dojrzewania, gdyż są w tym czasie jakby w półśnie, który wywołują u nich narkotyki. W „Monarze" są otoczeni troskliwą opieką, przebywają z ludźmi podobnymi do siebie. Po wyjściu z ośrodka przechodzą po raz drugi okres dojrzewania i... załamują się. Poza tym społeczeństwo też nie przyjmuje ich z otwartymi ramionami. Narkoman kojarzy się przecież z AIDS.

Kto z pensjonariuszy jest nosicielem wirusa HIV nie wiadomo. Nie przyszły jeszcze wyniki badań. Okoliczni mieszkańcy omijają „Monar" z daleka. Jego pracownicy starają się wejść i wyjść z ośrodka niepostrzeżenie. Nie chcą, by ludzie odsuwali się od nich w sklepie czy tramwaju. AIDS to magiczne słowo. Jedna z pracownic „Monaru" nie ukrywa swoich obaw. Opowiada:

— Mieszkam na wsi. Codziennie dojeżdżam do pracy półtorej godziny. Nikomu nie powiedziałam gdzie pracuję, bo wszyscy zaczęliby mnie unikać. Sama się boję. Wcale nie podjęłabym tej pracy, gdybym nie była bezrobotna. Uwierzyłam lekarzom, że ta choroba nie jest zaraźliwa w normalnych kontaktach, ale czasami nachodzą mnie wątpliwości... Mam nadzieję, że lekarze się nie pomylili?!

Historia naturalna przemian

DOKOŃCZENIE ZE STR. 6

wplątał ją w światową wojnę, uchronił przed krwawym przejściem do rządów demokratycznych.

— Jak widzi pan naszą przyszłość? Przed jakimi zagrożeniami chciałby pan przestrzec?

— Boli mnie to, że już od dawna Polskę opuszczają ludzie zdolni i z inicjatywą. To się musi koniecznie zmienić. Martwi mnie spadający poziom kultury, rosnące i panoszące się chamstwo. Trudno mi powiedzieć co z tym będzie dalej.

— A co pan sądzi o zjawisku antysemityzmu bez Żydów?

— To straszne. Antysemityzm przetrwał, choć nie ma już Żydów. To znów dowód na brak wyrobienia politycznego społeczeństwa. Ujawniają się jakieś trwałe relikty dawnej awersji do Żydów, które nie mają żadnego rzeczywistego podłoża. Nie pociesza mnie też fakt, że zjawisko to występuje nie tylko w Polsce. We Francji na przykład też doszło do zbeszczeszczenia żydowskich grobów. Nie umiem powiedzieć, czy w Polsce jest to zjawisko powierzchowne, ale bardzo krzykliwe, czy też ma jakieś głębokie korzenie. Nie chcę o tym szerzej mówić, bo dla mnie to jest coś strasznego i przerażającego.

— A mówi się o Polsce, że jest narodem w przeszło 90 procentach katolickim. Jak to można pogodzić?

— To jest katolicyzm o cechach politycznych. W Polsce zawsze była skłonność do powierzchownej pobożności. Polak pomodli się, a później zrobi źle. Ale nie można zapominać o istotnej roli Kościoła, który w najciemniejszych czasach stalinizmu zachował swą siłę. Dla wielu ludzi był jedynym oparciem.

— Czy nie obawia się pan degradacji kultury?

— Ludzie pióra, ludzie sztuki odczuli brak pomocy państwa. Ale ta pomoc miała swoje ujemne strony. Młody człowiek opublikował tomik wierszy i już czerpał pełnymi garściami różne przywileje i dobrodziejstwa. Popierani byli „słuszni" twórcy. Na wydanie książki czekało się jednak długo. Teraz zapanował rozgardiasz. W PIW obecnie też długo czeka się na wydanie książki, ale prywatne wydawnictwa pracują szybko. Tyle tylko, że są to książki obliczone na szybki zysk. Mam nadzieję, że dobrzy pisarze dadzą sobie radę. Może trudniej będzie plastykom. Mimo wszystko nie ogłaszałbym stanu klęski w kulturze.

— Czy w pana twórczości dokonujące się zmiany znajdą jakieś odbicie?

— Nie sądzę. Teraz nic nie piszę. Dość już napisałem. To, co się obecnie dzieje jakoś nie leży w nurcie mojej beletrystyki. To są tematy dla publicystyki.

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Warszawa, 26.11.1990.

Rozmowa nie była autoryzowana ze względu na nagłą chorobę pana Andrzeja Kuśniewicza.

„Obu nam zabrakło wyobraźni"

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

Kościół wypowiedział się pozytywnie co do zasady, że wprowadzenie kogoś z „Solidarności" wpłynie na otwarcie się urzędu prezydenckiego na nowy charakter politycznego myślenia. Lech Wałęsa też zwlekał z odpowiedzią, aż wreszcie pod koniec października zwrócił się do mnie. Żądał, abym udzielił odpowiedzi w ciągu kilku godzin, co zrobiłem, zasięgając wcześniej opinii Tadeusza Mazowieckiego, Jerzego Turowicza, Bronisława Geremka, biskupa gdańskiego — Gocłowskiego. Objęcie stanowiska potraktowałem jako przyjęcie dramatycznego wyzwania.

— Przypuszczam, że przychodził pan do Belwederu z nieufnością?

— To słabo powiedziane. Przychodziłem ze strachem. Byłem przerażony, bo nagle zamiast środowiska, w którym czułem się swojsko, znalazłem się, jak myślałem, w jaskini lwa. Nie obawiałem się, że nagle ktoś nawróci mnie na inną wiarę. Poczucie tożsamości miałem dostatecznie mocne. Tylko że taki awans, to żadna przyjemność. Szczerze mówiąc miałem poczucie zazdrości wobec ministrów w gabinecie Mazowieckiego, bo oni przynajmniej byli prawie u siebie.

— Czy pańska opinia na temat autora stanu wojennego uległa ewolucji?

— Na temat autora stanu wojennego — nie. Uważałem, że byłoby fałszem przymierzanie się do patrzenia na gen. Jaruzelskiego przez pryzmat przeszłości, że zanadto skomplikowałoby to nasze stosunki. Już w pierwszej rozmowie uzyskałem od Jaruzelskiego zapewnienie, że nie będziemy wracali do historycznych zaszłości. Powiedziałem mu zresztą wprost, że nie chcę analizować czasu, w którym on był po stronie bijących, a ja po stronie bitych. Doceniam, że uszanował we mnie tę inność.

Obiecałem sobie, że będę w Belwederze tak długo, jak długo moja obecność w urzędzie prezydenta nie stanie w konflikcie z moją biografią, systemem wartości i przekonaniami. I tak się stało. Nie byłem przymuszany do zajmowania stanowiska niezgodnego z tym, co myślę, nie byłem ustawiany w pozycji czyjegoś poplecznika. Sądzę, że wykonałem trochę pracy, która przysłużyła się krajowi.

— Wojciech Jaruzelski jako prezydent nie wykorzystał wszystkich uprawnień. Z niektórych nawet zrezygnował. Której z decyzji Jaruzelskiego pan nie podzielał?

— Nie była to decyzja, a raczej stanowisko, ale odradzałem mu na przykład zredagowanie listu w związku z 22 lipca. Ale nie chcę jeszcze robić remanentu naszych niezgód. Przyjdzie na to czas, gdy emocje opadną.

— Czy pańskim zdaniem gen. Jaruzelski był całkowicie lojalny wobec Mazowieckiego? Wielokrotnie wypowiadał się publicznie, że zależy mu na sukcesie tego rządu.

— Sądzę, że przez ten cały okres był lojalny wobec rządu Tadeusza Mazowieckiego. W procesie ozdrowieńczym, który przechodziła Polska, rola prezydenta mogła być sprowadzona do minimum i Jaruzelski podał się tej zasadzie, ograniczał się w swoich funkcjach. Myślę, że pomogło to rządowi w przeprowadzeniu reformy.

— Dlaczego decyzję opowiedzenia się za Mazowieckim w kampanii prezydenckiej podjął pan tak późno, na kilka zaledwie dni przed I turą wyborów?

— Niektórzy pytają, dlaczego tak wcześnie? Dlaczego nie po wyborach? Uznałem, że to kwestia zasady, że trzeba uczestniczyć w pewnym ryzyku. Po drugie — nieskromnie sądzę, że decyzja ta mogła przyczynić ileś tam głosów Tadeuszowi Mazowieckiemu. Wreszcie, dla mnie było rzeczą szalenie trudną, z dnia na dzień trudniejszą, dalsze funkcjonowanie w Urzędzie Prezydenckim. Nakazywało mi to bowiem zachowywać absolutną bezstronność. Dość długo udawało mi się nie dawać do zrozumienia, jaka jest moja opcja polityczna. Nie jest rolą ministra stanu w Urzędzie Prezydenckim mówić, kogo woli, jako kandydata na prezydenta. W pewnym momencie stało się to już niemożliwe.

— W lutym tego roku powiedział pan dla „Życia Warszawy": „Więcej może zrobić prezydent, którego stać na powściągliwość, niż taki, który byłby bardziej agresywny w działaniu". Czy nie to było zasadniczą przyczyną poparcia Mazowieckiego przeciwko Wałęsie?

— To jeden z ważnych powodów tej decyzji.

— Dziękuję panu serdecznie za rozmowę.

Warszawa, 23 listopada 1990 r.

Rozmawiał:
BŁAŻEJ TORAŃSKI

Piąta kolumna czy naturalny pomost?

DOKOŃCZENIE ZE STR. 7

Dietmar Brehmer mówi, że na tych osobach, na których teraz spoczywa ciężar szukania drogi mniejszości niemieckiej w Polsce, spoczywa zarazem ciężar wielkiej odpowiedzialności. Decyzje mogą być brzemienne w skutki. Dietmar Brehmer ostrzega, że Górny Śląsk może stać się Górnym Karabachem.

• • •

Przed kilkoma tygodniami podczas jednego z oficjalnych spotkań na terenie RFN Dietmar Brehmer w imieniu Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego zwracał się o pomoc dla Śląska.. — Reakcji nie było żadnej. O jej braku właśnie rozmawiał w hotelu pod Kolonią z Henrykiem Krollem: — **Bo ty pracujesz dla Polski!** — zarzucił mu Kroll. — **Pracuję dla słabszych** — odparł Brehmer. — **A więc wiadomo, dla kogo pracujesz** — ustalił Kroll.

Nie było chyba przypadkiem że tuż po powrocie z Niemiec Rada Naczelna Stowarzyszeń Ludności Niemieckiej w RP pisemnie zawiadomiła swego sekretarza generalnego o spotkaniu, które odbyło się 7 listopada we Wrocławiu, a na którym postanowiono między innymi odwołać Dietmara Brehmera z członkostwa w Radzie. Dietmar Brehmer, którego z Rady wylano zaocznie i bez podania powodu, wyjaśnienia przyczyn takiego właśnie potraktowania swojej osoby do końca nie uzyskał. W siedzibie Górnośląskiego Towarzystwa Charytatywnego przez kilkanaście minut wierciło się dwóch, przybyłych w celu zabrania pieczątek, panów. Jeden małomówny, miał wzrok utkwiony w stół, drugi bardziej wymowny, spojrzeniem uciekał po ścianach. Powtarzał przy tym uparcie, że Brehmer wszystko by zrozumiał, gdyby częściej brał udział w spotkaniach Rady, zwłaszcza ostatnio na terenie Niemiec. Nietrudno się domyślić, z kim były te spotkania.

Ludzie tacy jak Brehmer nie są BdV potrzebni. Czują się jednak potrzebni Śląskowi. Dietmar Brehmer powołał ostatnio nowe stowarzyszenie pod znaczącą nazwą: Niemieckie Towarzystwo „Pojednanie i Przyszłość".

DANUTA ŚMIERZCHALSKA

soft-tronik
creative computer technology

SKŁAD CELNY KARIMEX

PL-90446 Łódź Al.Kościuszki 132
tel.374211 fax 364233 tlx 884509

oferuje

SYSTEMY KOMPUTEROWE
firmy SOFT-TRONIK

zapewniamy:

* wysoką jakość
* ceny katalogowe
* autoryzowany serwis gwarancyjny - 12 miesięcy
* serwis pogwarancyjny
* oprogramowanie kompleksowe
  - przedsiębiorstw
  - biur
  - urzędów

KARIMEX
Foreign Enterprise

HURTOWNIA ART. PAPIERNICZYCH BIUROWYCH
„POL-RUS" Spółka z o.o.
Łódź, ul. Tkacka 9A
tel. 78-43-64, telex: 886622

1. Papier ksero kolor 500 ark. import — 50.000 zł (A4, A3, A2, A1)
2. Papier ksero 500 ark. polski — 33.000 zł, import — 39.000 zł.
3. Papier maszynowy 500 ark. polski — 23.000, imp. — 29.000 zł.
4. Papier offset maszynowy A1, A2, A3, A4, papier satynowany, kredowany 500 ark. imp. — 28.000 zł.
5. Papier kreda 60 g/m kw. do 400 g/m kw. import, cena 1 kg 9—15 tys. zł.
6. Brystol, chromokarton B0, A1 imp. — 3.700 zł arkusz.
7. Kalka techniczna syntetyczna i pergaminowa, import, arkusze, role
8. Papier telefax — import, wszystkie rodzaje, ceny od 36.000. zł.
9. Papier telex — wszystkie rodzaje, ceny od 3.200 zł za rolkę.
10. Papier komputerowy — składanka, rolki — wszystkie rodzaje.
11. Taśma Dalton, taśma do kas komp. — wszystkie typy.
12. Taśmy do maszyn, korektorki do maszynopisu „Tippex" imp.
13. Etykiety towarowe, komputerowe i zwykłe, wszystkie rodzaje, ceny najniższe w kraju.
14. Papier i folie samoprzylepne, 10 kolorów, arkusze i role.
15. Artykuły biurowe — pióra, długopisy, segregatory, koperty.
16. Papier czerpany — import A2, A4, koperty

Towar dostarczamy bezpłatnie. Płatne czekiem i gotówką, przelewem — tylko urzędy adm. państwowej.

PZ KARIMEX IHK
ZAKŁAD SPOŻYWCZY — CZOŁCZYN

O F E R U J E

wodę sodową
wodę gazowaną, mineralizowaną solami mineralnymi

UWAGA!

WODA Z WŁASNEGO UJĘCIA
Cena konkurencyjna, zamówienia przyjmuje:

PZ KARIMEX
90-446 Łódź, al. Kościuszki 132
tel. 37-42-11 tlx 884509

PRZEDSIĘBIORSTWO PODUKCJI RÓŻNEJ, HANDLU I USŁUG

„Dempol"

Spółka z o.o.
Oddział w Łodzi, ul. Zielona 6

P R Z Y J M I E

do realizacji wszelkie roboty
wchodzące w zakres
budownictwa ogólnego,

a w szczególności:

— roboty remontowe,
— roboty wykończeniowe,
— roboty budowlano-inwestycyjne,
— roboty antykorozyjne,
— roboty chemoodporne.

Przedsiębiorstwo istnieje od 1985 r., posiada niezbędne środki i wykwalifikowaną kadrę zdolną do podjęcia zleconych zleceń. Deklarujemy krótkie terminy realizacyjne. Szczegółowych informacji udziela Dz. Techniczny, tel. 74-77-72, w. 913, 923.

KARIMEX
Foreign Enterprise

OFERUJE

Sieciowe bazy danych wspomagające zarządzanie:
- Przedsiębiorstwem,
- Urzędem Administracji państwowej,
- Urzędem Administracji samorządowej,
- Jednostką Spółdzielczą lub Rzemieślniczą.

REALIZUJE

Kompleksową komputeryzację w zakresie sprzętu i oprogramowania.

ZAPEWNIA

Sprzęt Firmy SOFT-TRONIK wg. cen katalogowych (Oficjalny dystrybutor, Skład celny),
Oprogramowanie sieciowe (DOS, NOVELL, UNIX, XENIX, ULTRIX),
Serwis gwarancyjny i pogwarancyjny,
Szkolenie w zakresie użytkowania baz danych.

PZ KARIMEX IHK PL-90446 Lodz Al.Kosciuszki 132
tlf. 37-42-11 fax 36-42-33 tlx 884509

◆ SKŁAD TARCICY ◆

PHUP „MAXBUD"
tel. 14-12-65, telex 885551 maxbf
Starowa Góra, ul. Okienna 8

boczna, od ul. Zagłoby, na granicy Łodzi i Starowej Góry (dojazd ul. Rzgowską autobusami: 70, C, 268 bis, przystanek za Szpitalem Matki Polki — do składu po przeciwnej stronie ul. Rzgowskiej ok. 500 m).

▲ drewno na krycie dachów (deski, krawędziaki, murłaty itp.)
▲ deski szalunkowe
▲ deski podłogowe i legary
▲ drewno powietrzno-suche do przerobu w stolarniach
▲ załadunek bezpłatnie
▲ dysponujemy własnym transportem.

ZAPRASZAMY

od 7 do 17,
a we wszystkie soboty od 7 do 13.

PRZEDSIĘBIORSTWO
PRODUKCYJNO-HANDLOWO-USŁUGOWE
„DOMATOR"
Sp. z o.o.

POLECA:

▲ TELEWIZORY kolorowe najlepszych firm zagranicznych
▲ ANTENY SATELITARNE
▲ MAGNETOWIDY i RADIOMAGNETOFONY
▲ TELEFONY firmy Panasonic
▲ ZABAWKI zagraniczne pod choinkę

oraz szeroki wybór

▲ MASZYN SZWALNICZYCH i DZIEWIARSKICH przemysłowych i domowych typu Singer, Juki, Pfaff.

ZAPRASZAMY

DO SKLEPU FIRMOWEGO

przy ul. Żeromskiego 96
tel. 36-57-00 w. 448, czynny w godz 8—17.

Odpowiedź autora

DOKOŃCZENIE ZE STR. 22

znerwicowania 9-letniego wówczas dziecka, co w dużym stopniu odbiło się na jej zdrowiu".

Dopowiem, że sformułowanie „nie w myśl prawa" dotyczy przepisów o trybie przesłuchiwania dziecka do lat 14, których pabianicka milicja i prokuratura nie raczyły respektować, o czym — rzecz jasna — nie sposób dowiedzieć się z akt, bo któryż milicjant czy prokurator przyzna się dobrowolnie do łamania prawa?

I na tym mógłbym zakończyć, nie mogę jednak przemilczeć końcowego zarzutu, a właściwie kolejnej obelgi pod moim adresem. Proszę mi wierzyć, że to nie moje publikacje „pozbawiają prokuratora niezbędnego mu prestiżu", nie one też „przesądzają o odbiorze społecznym pracy urzędu prokuratorskiego". Moje publikacje — a i reakcje na nie — dowodzą po prostu, że weryfikacja w prokuraturze i milicji była zbyt łagodna, zbyt płytka. Dowodzą, że musi się ona dopełnić, mimo rozpaczliwych gestów ostatnich obrońców socjalistycznej praworządności.

JACEK INDELAK

DIGITAL

OFERUJE

MASZYNY DO LICZENIA I SORTOWANIA BANKNOTÓW	– firmy DE LA RUE /W Bryt./
ELEKTRONICZNE MASZYNY DO PISANIA	– firmy OLIVETTI /Włochy/
KALKULATORY 14,16 pozycyjne	– firmy CASIO /Japonia/
KALKULATORY PERSONALNE O POJEMNOŚCI 64 KB	– firmy CASIO /Japonia/
KSEROKOPIARKI	– firmy CANON /Japonia/
TELEFAXY	– firmy CANON /Japonia/
TESTERY WALUT	– firmy CASHCAN /USA/

Firma "DIGITAL" prowadzi sprzedaż za złotówki.
Na zakupiony sprzęt udzielamy 12-miesięcznej gwarancji.

CZĘSTOCHOWA Al.N.M.Panny 64
tel.420-23, 465-20, fax.465-20, tlx.037688
ŁODZ, ul.Zamenhofa 5
tel.32-71-23, 32-70-90, fax.32-70-90
BIELSKO-BIAŁA, ul.1Maja 8
tel.236-26, tlx.035789
TOMASZÓW MAZOWIECKI, ul.Pietrusińskiego 3/5
tel.377-59 - punkt informacyjny

jet AIR TRAVEL
PODRÓŻE LOTNICZE

90-107 ŁÓDŹ
ul. Traugutta 8
tel. 36-63-20,
tlx. 88-56-53 jet pl
fax (42) 36 63 20

PROPONUJEMY

PRZELOTY RENOMOWANYMI LINIAMI LOTNICZYMI
PAN AM, AMERICAN AIRLINES, KLM, BRITISH AIRWAYS, LOT, JAT

Nowy Jork	— 5.380.000 zł
Chicago	— 6.780.000 zł
Los Angeles/San Francisco	— 9.050.000 zł
Toronto/Montreal	— 6.800.000 zł
Sydney/Melbourne	— 16.200.000 zł

oraz wiele innych

KOMUNIKACJA AUTOBUSOWA
Autobusy Mercedes, z klimatyzacją i toaletą, rozkładane fotele, bezpłatne napoje.

Londyn	— 1.750.000 zł
Paryż	— 1.050.000 zł

Ponadto
Hamburg, Kolonia, Stuttgart.
Wszystkie ceny za przelot (przejazd) w obie strony.

ZAPRASZAMY 9—17.

DZIAŁAJĄCY OD 40 LAT

ZAKŁAD REMONTOWO-MONTAŻOWY PRZEMYSŁU MLECZARSKIEGO
w Łodzi,
ul. Łomżyńska 13/15
tel. 31-72-02, telex 88-67-96

OFERUJE

WYKONAWSTWO

instalacji technologicznych i przemysłowych
oraz
urządzeń nietypowych dla wszelkich branż przemysłu spożywczego, chemicznego i farmaceutycznego
(w szczególności dla rzemiosła)

Dyskretne łzy pięćdziesięciolatków...

Szkoła myśli i serc

Wśród łódzkich szkół średnich IV Liceum Ogólnokształcące im. Emilii Sczanieckiej od lat cieszy się dobrą sławą ze względu na wysoki poziom nauczania zwłaszcza języka angielskiego. „Czwórka" wykształciła ponad pięćdziesięciu olimpijczyków, co roku osiemdziesiąt procent jej absolwentów pomyślnie zdaje egzaminy na wyższe uczelnie. Od 1945 roku mury liceum opuściło 4573 uczniów.

W 70. urodziny szkoły z całej Polski zjechali do sędziwego gmachu przy ul. Nowotki wierni „Czwórce" profesorowie i absolwenci. Były łzy dyskretnie ocierane chusteczką i niepewne spojrzenia czy to ta sama osoba, z którą przed pięćdziesięciu laty siedziało się w ławce. Uczniowie z rozrzewnieniem wspominali grono pedagogiczne i wysoki poziom nauczania.

„Mieliśmy wspaniałych nauczycieli: matematyk pan Mikołajczyk, polonistka pani Stolarzewiczowa. Pani profesor Zaborowska, historyczka, była osobą nadzwyczaj wykształconą i niezwykle serdeczną dla młodzieży. Kazała nam wyciągać wnioski z faktów, uczyła rozumowania. Nasze pokolenie, które robiło maturę i kończyło studia w latach 30., przeszło wojnę, ale zawsze miało we wspomnieniach naszą kochaną budę".

Nie wszyscy odmeldowali się na jubileuszu. Minutą ciszy i złożeniem kwiatów pod pamiątkową tablicą uczczono poległych w czasie II wojny światowej uczniów i nauczycieli. Żyjących losy porozrzucały po całej Polsce. Wielu absolwentów, zwłaszcza z młodego pokolenia, zdecydowało się szukać szczęścia w innych krajach. Pewien starszy pan przybył w imieniu chorej żony, która nie czuła się na siłach, aby odwiedzić szkołę, gdzie kiedyś uczyła polskiego, i złożyć wyrazy pamięci. „Jestem wzruszony — powiedział. — Przeżycia, które daje szkoła i młodość to niezapomniane chwile".

W ciągu ostatnich dziesięciu lat IV Liceum Ogólnokształcące ugruntowało swoją renomę i opinię o wysokim poziomie nauczania. „Sczanlecka" jest szkołą znaną w mieście ze swych aktualnych osiągnięć. Jubileusz 70-lecia stworzył dobrą okazję, aby przypomnieć również historię szkoły, przeszłe wydarzenia legły bowiem u podstaw jej dzisiejszego sukcesu.

W 1920 r. Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego powołało ośmioklasowe Państwowe Gimnazjum Żeńskie, którego organizacją zajęła się Janina Parysewicz. Rok później w gmachu przy ul. Pomorskiej 18 rozpoczęło naukę 269 uczennic. 21 listopada gimnazjum nadano imię Emilii Sczanieckiej, działaczki patriotycznej okresu powstań narodowowyzwoleńczych w XIX wieku. Uzyskało także statut szkoły humanistycznej.

Absolwentka z 1923 r.: „Wstąpiłam do naszego gimnazjum mając 12 lat. Przeżyłam trzech dyrektorów: Czapczyńskiego, Kamińskiego i wreszcie panią Romanę Pachucką, u której zdawałam maturę i miałam piątkę z polskiego".

Absolwentka z 1931 r.: „Wtedy uczono systemem daltońskim, zupełnie odmiennym od dzisiejszego, polegało to na zdawaniu całych partii materiału podobnie jak przy egzaminach uniwersyteckich. Potem to bardzo pomagało dostać się na studia".

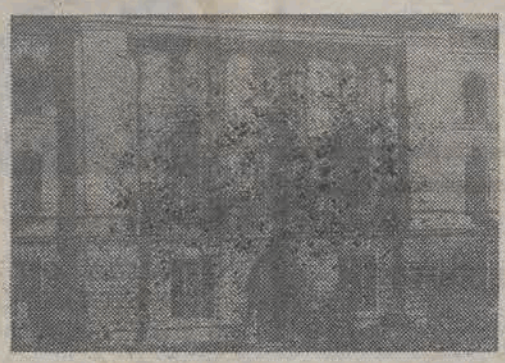

Po reformie szkolnej w 1933 r. zorganizowano nowe czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum. Obok siebie funkcjonowały dwa gimnazja: stare i zreformowane. Wówczas wprowadzono jednolity ubiór — czarne fartuszki z białymi kołnierzykami i czerwonym paskiem. Strojem galowym był granatowy mundurek z beretem.

Pierwsza matura typu licealnego (tzw. duża) przeprowadzona została w roku szkolnym 1938/1939. Wtedy też uległa zmianie nazwa szkoły na IV Państwowe Liceum i Gimnazjum im. E. Sczanieckiej nr 39 w Łodzi.

Absolwentka z 1938 r.: „Maturę zdawałam 18 maja. Nie wiedziałam wtedy, że data ta będzie później związana z bitwą pod Monte Cassino i z dniem urodzin papieża — Polaka. Z tamtych lat pamiętam piękny portret naszej patronki wiszący na końcu korytarza. Zawsze stały przy nim świeże kwiaty".

Absolwentka z 1931 r.: „Szkoła wychowywała w duchu społecznym i patriotycznym. W myśl tych ideałów wybrałam zawód nauczycielki. Tuż przed wojną skierowano mnie do pracy do Gdańska — nie wiedziałam wtedy, że czeka mnie wielka próba. Zabrano mnie stamtąd do obozu koncentracyjnego w Ravensbrück. Może dzięki szkolnym ideałom, które kształtowały hart ducha, przeżyłam".

Tuż po wojnie naukę w klasach pierwszych podjęło 195 uczennic. W 1948 r. liceum groziła likwidacja ze względu na niewłaściwy poziom ideowy. Po wprowadzeniu kolejnej reformy w oświacie przekształcono je w jedenastolatkę — uruchomiono ciąg klas podstawowych i gimnazjalno-licealnych, na dwie zmiany uczyło się ponad 800 uczniów.

Od 1951 r. przez 23 lata funkcję dyrektora pełniła Albina Krucińska. Jej wychowankowie zgodnie twierdzą, że była „dyrektorem w starym stylu, przed którym stawało się na baczność". Nie mogła być jednak pedagogiem zbyt surowym, skoro na jubileuszu 70-lecia „Czwórki" przez cały czas była oblegana przez grono kolegów i wzruszonych absolwentów.

„To była wspaniała szkoła — powiedziała A. Krucińska. — Szkoła... — (zastanawia się) — umysłów i serc. Myślę, że wychowała dużo mądrych ludzi, znających swoją drogę, świadomych tego, że tylko pracą można osiągnąć lepsze jutro".

Kolejne zmiany, które zaważyły na obliczu szkoły to oddzielenie ciągu podstawowego, pierwsi chłopcy w murach liceum (1957 r.) i wprowadzenie nauczania języka angielskiego w poszerzonym wymiarze 7 godzin tygodniowo (1964 r.).

Mówi Edwarda Szeflińska, obecna dyrektorka IV LO: „Żegnam się ze szkołą, odchodzę na zasłużony odpoczynek. Trudno mi o tym mówić, to jest tak, jakbym zostawiła tu pół serca. To już nie będzie pełne życie. Żyłam tą szkołą, działałam dla niej, bo kochałam tę pracę, kocham młodzież. Będzie mi tego brakować, ale mam nadzieję, że ktoś inny przejmie pałeczkę".

Absolwenci z rozrzewnieniem przechadzali się po korytarzach, zaglądali do już przecież nie tych samych klas, serdecznie rozmawiali z profesorami, przed którymi kiedyś z drżeniem serca stawali do odpowiedzi. Spotykali siebie sprzed kilkunastu lat na kartach szkolnej kroniki. Być może niektórzy zadawali sobie pytanie — jakbym ułożył sobie życie, gdybym znów mógł wrócić do szkolnej ławki?

MONIKA MATUSZAK

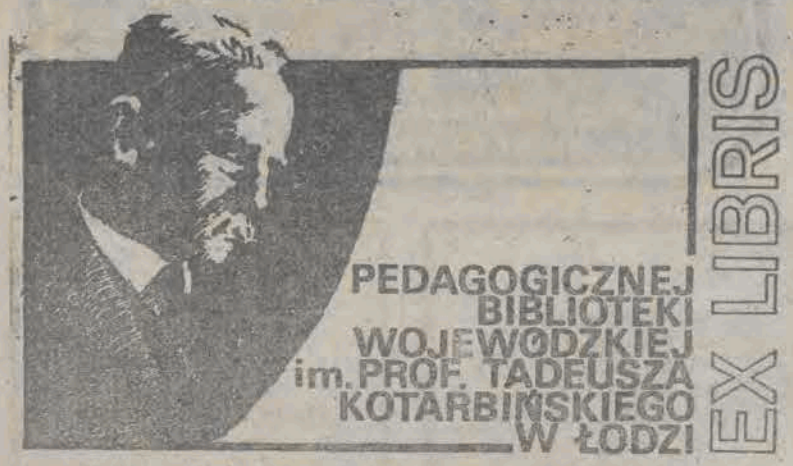

W 1991 roku Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka im. prof. Tadeusza Kotarbińskiego w Łodzi (ul. Wólczańska 202) obchodzić będzie 70-lecie swej działalności. Powołana została do życia w 1921 r. jako Miejska, Centralna Biblioteka Pedagogiczna w Łodzi. Skromny jej podówczas księgozbiór udostępniano jedynie nauczycielom i innym pracownikom oświatowym. Była to jedna z pierwszych tego typu placówek w kraju.

W 1939 roku księgozbiór biblioteki obejmował ponad 20.000 pozycji, na które składały się zakupy, depozyty i w znacznej ilości dary od osób prywatnych. W okresie okupacji hitlerowskiej placówka była zamknięta. Część zbiorów w liczbie około 5000 tomów została wcześniej przekazana do przechowania nauczycielom. Z podstawowej części księgozbioru okupant wyselekcjonował i przywłaszczył sobie dzieła w językach obcych, a pozostałe zmagazynował w nie dokończonym gmachu Biblioteki Publicznej przy ul. Gdańskiej 102.

Biblioteka ponownie została otwarta w dniu 14 czerwca 1945 roku przy ul. Jaracza 11. Z księgozbioru przedwojennego odzyskała zaledwie 10.000 tomów, które wstępnie zainwentaryzowano, rozpoczęto ich systematyczne opracowywanie oraz udostępnianie.

Aktualną nazwę nosi od 1976 roku, zaś imię Patrona otrzymała w 1988 roku. Pedagogiczna Biblioteka Wojewódzka wraz ze swoimi trzema filiami (Pabianice, Zgierz i Biblioteka Składowa w Łodzi) zgromadziła ponad 300.000 woluminów książek, około 18.000 tomów czasopism (1165 tytułów), 2464 jednostki inwentarzowe zbiorów pracowni reprograficznej (taśmy, kasety, płyty i druki towarzyszące do nauki 22 języków obcych, mikrofilmy, mikroklisze, a także inne materiały pomocnicze). Wśród tych bogatych zbiorów poczesne miejsce zajmują unikalne stare księgi z XVI—XVIII wieku oraz rzadkie czasopisma i książki z XIX wieku.

W ramach biblioteki funkcjonuje pierwsze w kraju Muzeum Oświaty, które w ciągu siedmiu lat między innymi potrafiło zebrać liczne muzealia i archiwalia, stary sprzęt i pomoce naukowe, 42 sztandary szkolne (najstarszy z 1916 r. ufundowano dla Szkoły Handlowej Kupiectwa Łódzkiego) i 2096 teczek różnorodnych materiałów lub dokumentów dotyczących rozwoju łódzkiej oświaty, zasłużonych pedagogów czy działaczy oświatowych.

Ze zbiorów biblioteki korzysta przeciętnie ponad 7000 czytelników rocznie, w tym około 34% stanowią nauczyciele i pracownicy akademiccy wyższych uczelni. Biblioteka oprócz wypożyczania i udostępniania (średnio rocznie 65.000 woluminów), prowadzi również inne formy działalności szczególnie w zakresie pomocy łódzkim pedagogom w samokształceniu i doskonaleniu ich pracy zawodowej, w propagowaniu postępu pedagogicznego, współpracuje z wieloma instytucjami i placówkami oświatowymi, organizuje praktyki uczniowskie i studenckie, pomaga bibliotekom szkolnym w selekcji i wymianie księgozbioru, umożliwia dokonywanie nagrań z płyt i kaset do nauki 22 języków obcych oraz wykonanie kserokopii ze zbiorów bibliotecznych. Organizuje ponadto okresowe wystawy w budynku własnym i w Muzeum Oświaty Aktualnie czynne są ekspozycje: „Elementarze świata", „Boże Narodzenie w malarstwie i grafice" i „Przegląd czasopism pedagogicznych".

JA i KW.

Przemoc to ciągle najatrakcyjniejszy towar.

Festiwal zagrożeń

MAREK KOPROWSKI

Różnego autoramentu zagrożenia otaczają człowieka coraz szczelniej, spychając go na obszary lęku i niepewności. O swój los, o dalszy byt na Ziemi. W odwieczny katalog zagrożeń: klęsk żywiołowych, głodu, wojen, epidemii, wpisują się nowe, wytworzone przez galopującą w pośpiechu cywilizację: widmo zagłady ekologicznej, terroryzm, perspektywa zniszczenia naszej planety przez wojnę nuklearną. Młode pokolenie nie znajduje sensu życia, gubi się coraz bardziej, uciekając w mniej lub bardziej „odlotowe" sytuacje, już nawet przestaje się buntować. Zadziwiająca jest desperacja z jaką współczesny człowiek niszczy sam siebie poprzez alkoholizm, narkomanię, nałogowe palenie tytoniu. Łamanie praw człowieka przez dzisiejszych tyranów, problemy narodowościowe, rasowe, religijne, graniczne wywołują konflikty druzgocące całe narody, wyniszczające kwitnące niegdyś krainy. Atmosfera na świecie zagęszcza się. Do tego wystarczająco ponurego indeksu dodałbym rozprzestrzeniającą się gwałtownie głupotę ludzką, nietolerancję, dyletanctwo, wszechpanujące chamstwo, pogoń za pieniądzem choćby po trupach, bandytyzm (w ogóle wzrost przestępczości), cwaniactwo — przynajmniej w naszym kraju coraz śmielej i agresywniej wyłaniające się z mroku, zakłócając normalne życie. Czy jest jeszcze takie?

Tymi obszarami życia mijającego stulecia zajął się I Festiwal Mediów w Łodzi, pod hasłem „Człowiek w zagrożeniu", odbywający się w Łódzkim Domu Kultury. Pomysłodawca i dyrektor festiwalu, Marek Miller, w liście intencyjnym napisał: „...Jeżeli zagrożenie stanowi podstawowe ludzkie doświadczenie, to czyż nie powinno stać się ono również podstawowym ludzkim wyzwaniem? Jaką rolę w podjęciu tego wyzwania mogłyby odegrać mass media? Jaką odgrywają? Zwiększają zagrożenie człowieka czy też je zmniejszają? Służą społeczeństwom czy też manipulują nimi? Więcej w nich prawdy czy nienawiści? Więcej w nich fanatyzmu i stereotypu czy twórczego poszukiwania rozwiązań? Mass media bardziej dziś tworzą wartości czy też bardziej demoralizują pogłębiając w nas poczucie osamotnienia i chaosu? Na łamach prasy, w programach radia i telewizji okrucieństwo, agresja, przemoc, pornografia to ciągle jeszcze najatrakcyjniejszy towar. Wtóruje im perfekcyjnie profesjonalna i skuteczna reklama alkoholu i tytoniu. W walce dobra ze złem, zło ma ciągle atrakcyjniejsze opakowanie. Zło jest lepiej zorganizowane i lepiej finansowane. W świecie mass mediów dobro szuka dopiero swojego miejsca".

Do udziału w festiwalu zaproszono instytucje i osoby prywatne, dzieląc uczestników według tworzywa, w którym się realizują: filmowców, dziennikarzy prasowych i radiowych. Nie było komisji kwalifikacyjnej, decyzje pozostawiono zaproszonym. Oni sami przeprowadzili selekcję materiałów. Nikt do nikogo nie miał więc pretensji o odrzucenie dzieła. Pomysł ten podchwycili już organizatorzy innych festiwali, m.in. krakowskiego — filmów krótkometrażowych.

Zaproszono gości zagranicznych. Przybyli twórcy z Rosji, Litwy, Łotwy, Białorusi, Estonii, przedstawiciele ich zasiedli w jury. Spory był oddźwięk w innych krajach, co zaowocować ma w przyszłości, bowiem Festiwal Mediów chce być imprezą cykliczną (może coroczną, może co dwa lata?).

Najliczniej obsadzoną sekcją była, co oczywiste, sekcja filmowa. Zgłoszono 58 filmów twórców polskich (zagraniczne pokazywano poza konkursem), traktujących o wymienionych na wstępie problemach dosłownie i w artystycznej przenośni. Grand Prix Festiwalu — „Białą Kobrę", którą nieodpłatnie wykonał artysta plastyk Zbigniew Dudek z Łodzi — zdobył film Andrzeja Różyckiego ze zdjęciami Stefana Nitosławskiego „Nieskończoność dalekich dróg. Podpatrzona i podsłuchana Zofia Rydet A.D. 1989", piękna impresja poetycko-filozoficzna o wybitnej polskiej artystce-fotografiku, utrwalającej odchodzący świat ludzi i miejsc. Sama artystka też jest z gatunku ludzi, „których dziś już nie ma". Dodatkowo autor tego filmu otrzymał od wiceministra kultury i sztuki, kierownika Komitetu Kinematografii, min. Dąbrowskiego, środki na realizację nowego filmu. Przyznano również nagrody główne (równorzędne) ufundowane przez: wojewodę Waldemara Bohdanowicza dla Piotra Zarębskiego za „Europę II", autorską próbę przeniesienia idei filmu Franciszki i Stefana Themersonów pt. „Europa 31—32" zaginionego podczas II wojny światowej (film nagrodziła również Fundacja Rozwoju Szkoły Filmowej i Zespół Filmowy „Index"); prezydenta Łodzi Grzegorza Palkę dla Krzysztofa Langa za „Proces" — film przedstawiający nieznane archiwalia i relacje świadków oraz uczestników procesów organizowanych w okresie stalinowskim przeciwko oficerom Wojska Polskiego; przewodniczącego Komisji Episkopatu ds. Środków Społecznego Przekazu bp Adama Lepę dla Olafa Olszewskiego za „Żurawie" — film o pracy i marzeniach grupy niewidomych kobiet pracujących w zamkniętym warsztacie prowadzonym przez siostry zakonne. Przyznano również nagrody specjalne. Jury przewodniczył Tadeusz Sobolewski.

Na marginesie: gdy ekipa łódzkiej telewizji filmowała wręczanie nagród, pani redaktor rzuciła komendę w stronę kamerzysty: „mnicha nie filmować". I rzeczywiście, gdy zakonnik w habicie odbierał nagrodę w imieniu Zespołu Filmowego „Logos", „telewizyjni" filmowali widownię, a potem zwinęli sprzęt i wyszli z sali. Ciekawe, czy mnich stanowił jakieś zagrożenie i dla kogo?

Do sekcji radiowej, połączonej z prasową, zgłoszono 11 prac dźwiękowych z ośrodków radiowych Krakowa, Warszawy, Katowic, Łodzi, Szczecina. Prace te nie były w tym roku oceniane, służyły raczej ich twórcom jako pretekst do wymiany myśli, doświadczeń i „zapachów"; było to spotkanie czysto warsztatowe. Obiecano jednak, że następnym razem i one staną w konkursowe szranki.

Imprezami równoległymi były przeglądy filmów zagranicznych, seminarium i forum. Całodniowe seminarium pt. „Człowiek w zagrożeniu a środki masowego przekazu" spotkało z sobą naukowców z polskich uniwersytetów (Łódzkiego, Warszawskiego i Jagiellońskiego) i przedstawicieli ośrodków zajmujących się tytułową tematyką: Ośrodka Badań Prasoznawczych, OBOP, Polskiego Klubu Ekologicznego, Porozumienia Górnośląscy Zieloni, Centrum Onkologii, Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego, Towarzystwa Zapobiegania Narkomanii, MONAR, Towarzystwa Antynikotynowego, Centrum Doskonalenia Człowieka i innych. Przewodniczył seminarium doc. dr hab. Grzegorz Gazda.

Do udziału w forum „Teraźniejszość a oczekiwanie" udało się Markowi Millerowi zaprosić jego przyjaciela i mistrza Ryszarda Kapuścińskiego oraz bp Adama Lepę, Mariusza Waltera, Andrzeja Brzozowskiego, Władysława Wasilewskiego i Jurija Stułowa, krytyka filmowego z Rosji.

Czy festiwal przyniósł odpowiedzi na postawione na wstępie pytania? Choć próbował — nie, bo nie mógł ich przynieść jednoznacznie i w całości. Problem jest zbyt trudny i skomplikowany. Festiwal wychodzi w pół drogi postawionemu w tytule zagadnieniu, a jego ambicją jest, jak mówi Marek Miller: „stworzenie miejsca żywego, gdzie prezentowane będą dokonania podejmujące wyzwania podstawowych zagrożeń człowieka. Miejsce to ma również inicjować powstawanie takich dokonań, poszukując nowych twórczych możliwości".

Był to niezwykle wartościowy, twórczy i udany festiwal. Wierzyć się prawie nie chciało, że grupie ludzi, którzy wiedzieli wszakże czego chcą, udało się zorganizować imprezę za 30 mln złotych. Wbrew krakaniu zawsze obecnych kruków-niedowiarków. Bardzo pomogły władze miasta i województwa, Kościół i „Solidarność", ludzie z ŁDK i łódzkiej rozgłośni radiowej. Cztery dni wypełnione programem od rana do wieczora i — praktycznie — bez wpadek. To niesamowite. To także dowód, jakże wyświechtany, ale jednak, że wiedząc co i jak robić, niemożliwe staje się możliwe. To pochwała profesjonalizmu.

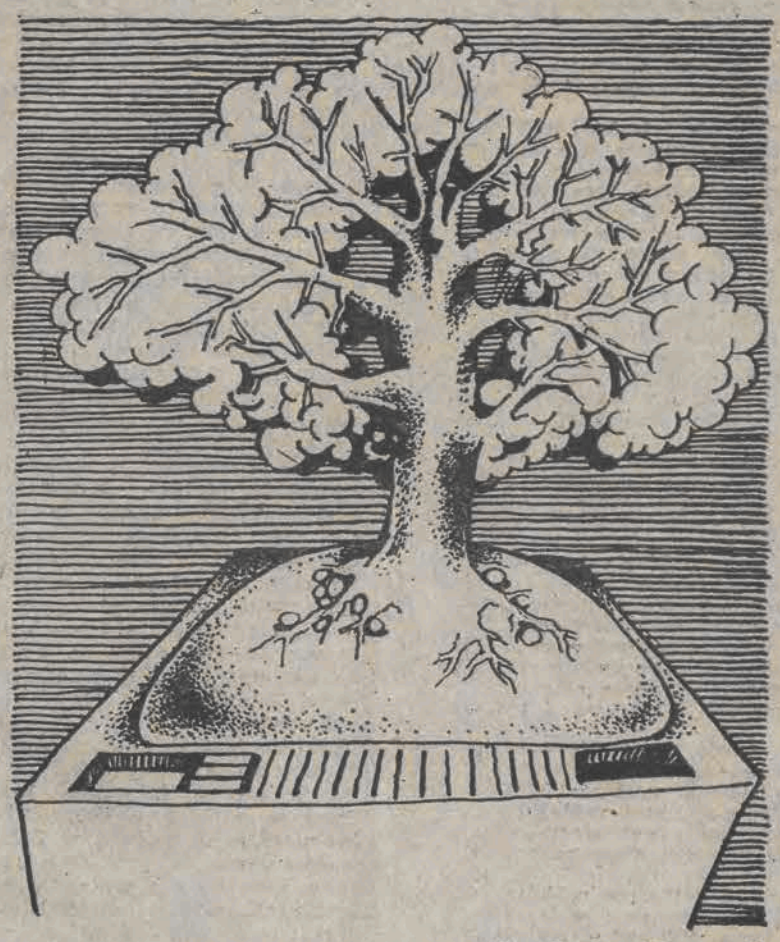

Rys. Dariusz Romanowicz

„Ile jest ludzkiej krzywdy" — post scriptum Prokuratury

Z Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi otrzymaliśmy pismo, którego treść publikujemy w całości poniżej:

W nawiązaniu do artykułu Jacka Indelaka pt. „Ile jest ludzkiej krzywdy" opublikowanego w numerze 1682 z 1—15 października 1990 r., proszę o zamieszczenie niniejszego sprostowania.

Po zapoznaniu się z treścią ww. artykułu oraz ustaleniami dokonanymi w sprawie 4 Ds 1011/85 Prokuratury Rejonowej dla Dzielnicy Łódź-Polesie dotyczącej wypadku samochodowego zaistniałego w dniu 2 października 1985 r. w Pabianicach, wskutek którego doznał poważnych obrażeń ciała Krzysztof Nowicki, zauważam poważne nieścisłości między stwierdzeniami zawartymi w publikacji a zebranym materiałem dowodowym sprawy.

W szczególności, nie jest prawdą, że organy ścigania w momencie gdy ustaliły sprawcę wypadku drogowego, odstąpiły od podjęcia działań. Z akt sprawy wynika, że funkcjonariusze RUSW w Pabianicach niezwłocznie po uzyskaniu informacji dotyczącej wypadku podjęli czynności typowe dla zabezpieczenia dowodów popełnionego przestępstwa.

W dniu 2 października 1985 r. wykonano oględziny, szkic miejsca wypadku. Również użyto wobec sprawcy przestępstwa probierza trzeźwości oraz pobrano od niego krew w celu jej zbadania na zawartość alkoholu. Zatrzymano ww. prawo jazdy. W dniu następnym przeprowadzono powypadkowe oględziny pojazdu, które potwierdziły okoliczność udziału tegoż samochodu w kolizji drogowej. Zabezpieczono również odzież i obuwie dziecka i poddano specjalistycznym badaniom zgodnie z postanowieniem wydanym w toku dochodzenia w dniu 24.10. 1985 r. Podnieść należy, że 23.10.1985 r. wykonano dodatkowe zdjęcie miejsca zdarzenia, szczegółowy szkic oraz sfotografowano uszkodzenie pojazdu.

Wyżej podane fakty zaprzeczają w sposób oczywisty zawartej w artykule tezie, że „z chwilą ustalenia sprawcy, organa ścigania zaprzestały wszelkich działań, jakie prowadzi się po takich wypadkach drogowych". Podniesione w artykule zarzuty, iż za późno wykonano w toku postępowania eksperyment śledczy (7 listopada 1985), a także nie zapewniono udziału w nim ojca pokrzywdzonego, są chybione. Czynność procesowa w postaci eksperymentu śledczego może się bowiem odbyć po zebraniu podstawowego materiału dowodowego, a taki właśnie materiał zbierano intensywnie w pierwszym miesiącu dochodzenia.

Natomiast w przeprowadzonym eksperymencie uczestniczył ustanowiony pełnomocnik pokrzywdzonego K. Nowickiego, jeden z adwokatów ZA nr 5 w Łodzi. Dołączony do akt sprawy protokół odzwierciedla przebieg eksperymentu, w toku którego składali oświadczenia i opisywali zdarzenie zarówno świadkowie, jak też sprawca wypadku.

Nie jest również prawdą, że w toku postępowania dopuszczono się nieuzasadnionych przerw w czynnościach, gdyż przegląd akt sprawy wskazuje, że zarówno w październiku jak i w listopadzie 1985 r. systematycznie zbierano materiał dowodowy.

Poddano m.in. analizie na zawartość alkoholu zabezpieczone próbki krwi podejrzanego, a okoliczności związane z opóźnieniem przesłania jednej z fiolek do Zakładu Medycyny Sądowej w Poznaniu zostały szczegółowo wyjaśnione i wykazały jedynie pomyłkę funkcjonariusza MO, a nie tendencyjne zacieranie śladów, jak to sugeruje treść artykułu. O powyższych ustaleniach poinformowano J. Nowickiego.

Najpoważniejszym zarzutem wynikającym z treści publikacji jest zarzut namawiania świadków do składania fałszywych zeznań przez prokuratora Sławomira Sobczaka. Autor artykułu podkreśla, że zarzut ten nie jest gołosłowny, gdyż potwierdziły go zeznania ojca Anny Czaj, Witolda Czaj.

Szczegółowa analiza akt sprawy wykazała jednakże, iż Witold Czaja zeznawał jako świadek przed Sądem Rejonowym (nie Wojewódzkim) dwukrotnie: w dniu 2 października 1985 r. i wtedy nie wypowiadał się na temat zachowania prokuratora, w dniu 18 lipca 1987 r. kiedy to stwierdził, że nie był obecny przy przesłuchaniu córki u prokuratora, w przesłuchaniu tym uczestniczyła jego żona, która mówiła mu, iż prokurator miał powiedzieć do Ani, żeby o wszystkim zapomniała.

Z materiału dowodowego wynika, że osobami obecnymi podczas przesłuchania w prokuraturze Anny Czaj były: matka dziewczynki i biegły psycholog. Z treści ich wypowiedzi nie wynika, aby słyszały, iż prokurator nakłaniał Annę Czaję do składania fałszywych zeznań, przeciwnie, Halina Czaja stwierdziła, iż prokurator nie zmieniał wypowiedzi córki, a biegły psycholog zeznał, że sposób zadawania pytań przez prokuratora nie był podchwytliwy. Podnieść również należy, że w toku dochodzenia Anna Czaja była przesłuchiwana dwukrotnie, a nie „dziesiątki razy".

Zgodnie z art. 12 ust. 1 pkt. 1 Ustawy „Prawo Prasowe" (...) dziennikarz zobowiązany jest zachować szczególną staranność przy zbieraniu materiałów prasowych, zwłaszcza sprawdzić zgodność z prawdą uzyskanych wiadomości. Powyższy wymóg nie został w niniejszym przypadku spełniony.

Z treści artykułu wynika, iż jego autor posługiwał się fragmentem materiału dowodowego sprawy jedynie wybiórczo. Pisze on bowiem, iż czytał zeznania Anny Czaj i sprawcy wypadku drogowego, nawet je cytuje. Natomiast nie usiłuje skonfrontować wypowiedzi ojca pokrzywdzonego chłopca z ustaleniami przeprowadzonego postępowania. W konsekwencji dopuszcza więc do sformułowania nieprawdziwych zarzutów, co więcej, zarzuca wprost prokuratorowi dokonanie przestępstwa. Takie postępowanie nosi cechy zniesławienia i narusza dobra osobiste prokuratora S. Sobczaka.

Niezrozumiałym jest również stwierdzenie, iż ostatnią szansa na zrehabilitowanie się wymiaru sprawiedliwości mogła być decyzja Prokuratury Wojewódzkiej uwzględniająca wnioski mecenasa P. Andrzejewskiego. Stanowisko prokuratury wynika z przyjętej wykładni prawa dokonanej przez Sąd Najwyższy, znalazło ono odzwierciedlenie w podjętych decyzjach merytorycznych oraz pismach skierowanych do ww. adwokata.

Na koniec podnieść należy, że sprawy dotyczące pobicia redaktora M. Kwiatkowskiego oraz Józefa Wilka nie pozostają w żadnym związku z wypadkiem Krzysztofa Nowickiego. Materiał dowodowy pierwszej z tych spraw nie daje podstaw do wysnucia wniosku, iż przyczyną zatargu między redaktorem M. Kwiatkowskim a funkcjonariuszem MO mogła być publikacja na temat opisanego powyżej wypadku drogowego.

Natomiast co do drugiej sprawy to bezspornym jest, iż obrażenia ciała J. Wilka powodujące jego zgon nastąpiły w barze „Pod kuflem" w Łodzi i nie miały związku z przestępstwem. Umiejscowienie zdarzenia w barze „Karolewski" w Pabianicach nie znalazło potwierdzenia w materiale dowodowym sprawy Ds 1140/86 Prok. Rej. Łódź-Śródmieście zakończonej umorzeniem postępowania, którego nie kwestionowały siostry zmarłego.

Reasumując więc, krytyczna, subiektywna ocena działań prokuratury zaprezentowana przez ojca pokrzywdzonego Krzysztofa Nowickiego nie upoważnia autora artykułu do publikacji nie zweryfikowanych faktów i pomówień.

Konsekwencją takiego nierzetelnego działania jest właśnie nieprawdziwy odbiór społeczny pracy urzędu prokuratorskiego oraz nieuzasadnione pozbawienie prokuratora niezbędnego mu prestiżu do wykonywania pracy.

Rzecznik prasowy
Prokuratury Wojewódzkiej w Łodzi
prokurator JERZY OJRZYŃSKI

ODPOWIEDŹ AUTORA

Z zażenowaniem przeczytałem to pismo, sporządzone w myśl starej praktyki: najlepszą metodą obrony jest atak. Atak przypuszczany tutaj w imię czego? Chyba tylko w obronie praworządności socjalistycznej, której niesławy wielu jej współwykonawców nie chce wciąż przyjąć do wiadomości. Gdyby pismo to nadeszło z PRL-owskiej prokuratury nie wzbudzałoby zdziwienia, Prokuratura Wojewódzka w Łodzi — jak i wszystkie inne — jest jednak dziś organem Rzeczypospolitej Polskiej, wystąpienie więc jej rzeczników w obronie niechlubnych zaszłości musi zdumiewać, dając przy tym wiele do myślenia.

Pismo w warstwie merytorycznej w zasadzie nie podważa zaprezentowanych przeze mnie faktów, hałaśliwie za to kwestionuje ich interpretację.

Według mnie — na przykład — uniemożliwienie ustalenia stanu trzeźwości czy nietrzeźwości sprawcy wypadku jest karygodne i stanowi wystarczającą już podstawę do braku wiary w rzetelność prowadzonego śledztwa, natomiast według autora pisma jest to nic nie znacząca „pomyłka funkcjonariusza MO", nad którą należało przejść do porządku dziennego. I tak można rozpatrywać zarzut po zarzucie. Z niedostatku miejsca ograniczę się do konkluzji: autor pisma, by mi zripostować, badał akta. Ja do akt mam stosunek jednoznacznie sceptyczny, bo ja — w przeciwieństwie do niego — badałem sprawę. Akta to zaledwie wierzchołek góry lodowej, na którym można się pośliznąć, czego przejawem jest i owo pismo.

Jego autor poucza mnie. Zrewanżuję mu się równie eleganckim pouczeniem: nierzetelny to prawnik, który orzeka publicznie przed zakończeniem śledztwa. A czymże innym jest stwierdzenie, że śmierć Józefa Wilka nie miała żadnego związku ze sprawą Nowickich? O tym, czy taki związek istniał, nie rozstrzygnę ani ja, ani autor pisma, choć on pospieszył się ze swoim orzeczeniem, nie czekając na wynik śledztwa, jakie ma zostać wznowione na zlecenie sejmowej komisji. Zawartość teczki o sygn. DS 1140 może być wiążąca raz na zawsze tylko dla kogoś, kto wierzy w socjalistyczną praworządność, ja nie wierzyłem w nią już za PRL-u, a cóż dopiero teraz?

Kwestia wreszcie najistotniejsza. Autor pisma stwierdza, że moje postępowanie „nosi cechy zniesławienia i narusza dobra osobiste prokuratora Sł. Sobczaka".

Otóż, Szanowni Panowie Prokuratorzy, jestem dostatecznie doświadczonym — również i przez socjalistyczną praworządność — reporterem, żeby ryzykować postępowanie, które „nosi cechy zniesławienia". Muszę więc uprzytomnić Wam, Panowie Prokuratorzy, że ja nie pomawiam, ja po prostu konstatuję. Na poparcie owych konstatacji zmuszony jestem przytoczyć takie oto oświadczenia z mojego prywatnego archiwum:

„Władysław Pietrzak... Oświadczam, iż prokurator z Prokuratury Rejonowej w Łowiczu, ob. Sławomir Sobczak prowadził dochodzenie w sprawie pobicia mnie przez funkcjonariuszy ZOMO ppor. Zdzisława Gołębiewskiego, plut. Władysława Jagiełłę przy udziale naczelnika gminy w Bielawach, ob. Kazimierza Liberskiego, jakie miało miejsce w restauracji w Bielawach w dn. 28 listopada 1981 roku. Prokurator prowadził z początku dochodzenie opieszale, ale w miarę obiektywnie. Po wprowadzeniu stanu wojennego w zasadniczy sposób zmienił swoje działanie, usiłując sprowadzić mnie z roli pokrzywdzonego do roli podejrzanego, próbował nawet przygotować przeciw mnie akt oskarżenia. W śledztwie usiłował wymusić na mnie, jak i innych świadkach, zmianę zeznań, uciekając się przy tym do różnych pogróżek z aresztowaniem włącznie. W śledztwie stosował metody absolutnie niezgodne z prawem, jak np. telefoniczne wezwanie do natychmiastowego stawienia się na przesłuchanie, mimo odległości 25 km".

Oświadczenie drugie:

„Halina i Witold Czaja... Oświadczamy, iż nasza córka Anna przesłuchiwana była wielokrotnie jako świadek w sprawie wypadku, jakiemu uległ w dniu 2.10.1985 r. Krzysztof Nowicki. Prowadzący w tej sprawie dochodzenie prokurator Sławomir Sobczak z Prokuratury Rejonowej w Pabianicach usiłował spowodować zmianę zeznań naszej córki, a kiedy mu to się nie udało, oznaj[illegible] by o wszystkim zapomniała, bo sprawy nie będzie. Sposób prowadzenia oficjalnych i nieoficjalnych przesłuchań, które to prowadzone były nie w myśl prawa, doprowadził do zastraszenia i skrajnego

DALSZY CIĄG NA STR. 19

Przepis do skreślenia

Jest rówieśnicą mojej córki, ma dwadzieścia pięć lat. Rok temu skończyła germanistykę. Pracy nie musiała szukać: w szkołach brakuje germanistów. A dziś jest u mnie z pożegnalną wizytą. Pije kawę, chrupie herbatnikiem i z rozjaśnioną, młodą twarzą mówi, że oto los uśmiechnął się do niej, bo to, co na nią czeka, to znacznie więcej niż główna wygrana w Superlotku.

Ona, jedyna córka moich przyjaciół, już w przyszłym tygodniu wyjeżdża do Monachium. Za tysiąc marek miesięcznie będzie opiekować się dzieckiem pewnego niemieckiego małżeństwa.

Owo małżeństwo jeszcze dziesięć lat temu mieszkało w tym samym wieżowcu, co moi przyjaciele. Do RFN-u wyjechało tuż przed stanem wojennym. On zdołał tam udowodnić swój niemiecki rodowód, którym tu nigdy nie chwalił się ni słówkiem: jego dziadek podpisał volkslistę Więc i ona, jako żona już nie-Polaka, otrzymała obywatelstwo niemieckie. Raz na rok przyjeżdżają do swoich, wciąż polskich rodziców, coraz bardziej koślawiąc polszczyznę. Kandydatce na opiekunkę swego czteroletniego dziecka stawiają jeden warunek: biegła znajomość języka niemieckiego.

— A ja ją mam! — cieszy się obdarowana przez los — Anno-Mario, niech pani sobie wyobrazi: tysiąc marek miesięcznie! Własny pokój, pełne utrzymanie, a więc ani feniga na „życie" nie wydam. I jeszcze ciuchy! Bo obiecali oddawać mi swoje, a oni tam przecież ciuchy zmieniają na nowe co sezon. Czemu mi się pani tak dziwnie przygląda? O, proszę nie sądzić, że zamierzam długo być zwykłą opiekunką! Wszystko dokładnie przemyślałam. To zajęcie, to jakby pierwszy przystanek na mojej nowej drodze. Jak pani widzi, szczęśliwie dla siebie, nie jestem brunetką...

No nie — nie jest! Jest cała jasna. Jasna cera, jasnoniebieskie oczy, jasne włosy.

— ...ale wysoką blondynką, w niemieckim guście, więc powinnam tam szybko znaleźć męża. Wtedy będę mogła zostać na stałe — przegryza swoje oświadczenie herbatnikiem, nagle wzdycha: A moi starzy niczego nie rozumieją. Ojciec powiedział, że jeśli wyjadę, to mnie przeklnie. A mama ciągle płacze: Jak to, dziecko, jak to? Wigilia w obcym kraju? Nie w domu rodzinnym? Zostań chociaż na Wigilię... Anno-Mario! przecież to tani, ckliwy sentymentalizm.

Chyba jednak i ja jestem sentymentalna, bo oto przypomina mi się taki już doszczętnie dziś zapomniany, całkowicie niemodny i pewno komicznie brzmiący czterowiersz Konopnickiej: „Kochasz ty dom, ten stary dach? Co prawi baśń o dawnych dniach? Omszałych wrót rodzinny próg? Co wita cię z cierniowych dróg...". Boże, i co mi po tej głupiej, ckliwej, banalnej łepetynie się błąka? Co pobrzmiewa? Jaki rodzinny próg? Jaki dom? Więc chcę go pośpiesznie skreślić, bo on do niczego dziś nie pasuje, ale się mnie uczepił, przeklęty, narzuca nachalnym obrazem, i widzę nie tylko ciemnawe pokoje w amfiladzie, drewniane okiennice, kolumienki drewnianej werandy, ale i ten próg, przed którym my wszyscy uklękliśmy: ja, mała dziewczynka, moja matka, babka, dziadek, ciotka, wujkowie, kuzyni, żeby się z tym progiem, pokojami w amfiladzie, werandą, domem całym, podwórzem, ogrodem — naszą małą ojczyzną — pożegnać: wyjechaliśmy z Wileńszczyzny ostatnim transportem repatriacyjnym.

— Anno-Mario, gdyby pani porozmawiała z moją matką. Co za różnica gdzie się spędza Wigilię? Tam przecież też będzie jakaś.

„Jakaś" — myślę. „Jakaś".

Nasze rodziny poznały się w tym ostatnim transporcie: zajmowały sąsiednie wagony. Potem w dalekim warmińskim miasteczku, Ornecie za Olsztynem, osiedliły się dom przy domu. A ja z jej matką (która teraz płacze przecież nie tylko z powodu wizji pustego miejsca po córce przy stole wigilijnym) — biegałam razem do pierwszej klasy. Potem nasze matki, obie wojenne wdowy, wyjechały do Łodzi, kontakty rozluźniły się. Lecz raz do roku — przez wiele lat jeszcze — i nasze matki, i my — w grudniowy, przedwigilijny dzień spotykałyśmy się na peronie Dworca Kaliskiego. Stamtąd o godzinie 14 odjeżdżał pociąg do Olsztyna, a Olsztyn był stacją przesiadkową w naszej podróży do Ornety. Tę uciążliwą, długą podróż odbywało się tylko po to, aby święta Bożego Narodzenia spędzić w rodzinnym domu, wśród najbliższych. A dom rodzinny był tam, gdzie głowy rodu: dziadek i babka. Dom był co prawda obcy, obcy miał dach, ale meble w nim były nasze, od pokoleń te same, i obrazy też nasze od pokoleń, nasi święci i nasze tradycje. Więc czekał w nim, jak od pokoleń zwyczaj każe, wigilijny stół pachnący sianem spod adamaszkowego obrusa. Na stole trzynaście potraw, wśród których nasze od pokoleń „śliżyki" i kisiel, koniecznie owsiany. Na srebrnej tacce bielił się opłatek. Dodatkowe nakrycie dla głodnego, który przyjść może, a któremu nigdy nie wolno odmówić gościny. Uroczyście, z pierwszą gwiazdą na grudniowym niebie, cała rodzina, która tu, do domu dziadków, pozjeżdżała się z różnych miast: z Bydgoszczy, Łodzi, Warszawy, Białegostoku — zajmowała swoje miejsca przy stole, a dziadek, nim podzielił się z nami wszystkimi opłatkiem, mówił: Pokój temu domowi. I nam wszystkim, którzyśmy spragnieni bożego miłosierdzia. I wam wszystkim, którzyście od nas żywych odeszli na zawsze, a którzy przychodzicie do nas w ten wieczór święty, aby pospołu z nami wieczerzać — pokój wieczny i odpoczywanie.

— Anno-Mario? Słucha mnie pani?

Słucham, oczywiście, że słucham. Orneckiego domu też już nie ma od dawna. Po śmierci dziadków dom się sprzedało, meble, obrazy i pieniądze za dom rozdzieliło sprawiedliwie na części. I odtąd już tylko pomiędzy Łodzią, Warszawą, Bydgoszczą i Białymstokiem krążyły świąteczne karty z życzeniami: „szczęśliwych świąt i pogodnej Gwiazdki". Ot, tyle z tego zostało. Mniej niż garstka popiołu, a przecież to nie pożar spustoszył nasze przez pokolenia przetrwałe zwyczaje czy tradycje. Im szybsze samochody, tym odległości pomiędzy nami nie do przebycia, nie do pokonania. Nawet tu, w tym samym mieście, chociaż nas z tego jednego pnia tak mało, jedynie ja, moja siostra, mój brat — Wigilię spędzamy oddzielnie, każdy u siebie. Stołu więc nie muszę rozsuwać, a siano pod obrus? ech, tylko się naśmieci! a trzynaście potraw ?, dla kogo bym je miała pichcić?, i po co aż tyle? Owszem, spotykamy się kilka razy do roku w rodzinnym gronie z okazji imieninowych. Lecz imieniny któregoś z nas, to przecież zupełnie co innego niż Wigilia.

— Pani jest taka nowoczesna, Anno-Mario. Nie to, co moja matka. Znacie się od dziecka, może uda się pani przemówić jej do rozumu? Świat się zmienił, Anno-Mario. I zmienia się w coraz szybszym tempie. A dla mojej matki jakby się zatrzymał na tej kretyńskiej Wigilii. Wie pani, co ona zrobiła? Ona wczoraj napiekła cały stos śliżyków! Mówi, że chociaż te śliżyki muszę zabrać ze sobą. Czyste wariactwo! A po co mi one?

Rzeczywiście: wariactwo. I te śliżyki, i w ogóle — ta cała pamięć o „dawnych dniach, rodzinnych progach", itepę. Zbędny, przeżyty balast ckliwych dinozaurów. Moi dziadkowie opuszczając swoją małą ojczyznę zabrali ze sobą ziemię w płóciennym woreczku, kazali się z nią, z tą ziemią, pochować. Wysoka blondynka, która swoją szansę życiową opiera na niemieckim guście, wychowała się w dwupokojowym mieszkanku blokowym ze ślepą kuchnią na dziewiątym piętrze wieżowca z windą, zsypem na śmieci, brudną klatką schodową.

— Pani mnie chyba rozumie, Anno-Mario? Jestem młoda i mam szansę, aby zostać obywatelem świata.

Tak. Oczywiście. Rozumiem.

ANNA-MARIA

PEGROTOUR

— wycieczki do wielu krajów świata

— imprezy z katalogów niemieckich biur podróży, przejazdy do Niemiec

— wczasy świąteczno-noworoczne, sylwester, zimowiska w kraju i za granicą

— kursy języków: angielskiego w Londynie, niemieckiego w Berlinie Zach., francuskiego w Paryżu

— wizowanie paszportów na wyjazdy indywidualne do Niemiec, Izraela

— sprzedaż: bilety lotnicze, mapy, kaktusy egzotyczne

ZAPRASZAMY

Łódź, ul. Kilińskiego 59/63 (przy hotelu „Centrum") tel. 33-21-51.

ŁODZKI BANK ROZWOJU
SPÓŁKA AKCYJNA

OFERUJEMY KLIENTOM W CAŁYM KRAJU

m. in.:

— **najwyższe oprocentowanie lokat pieniężnych i depozytów — stałą gwarantowaną stopę procentową,**

— **dopłaty do lokat oprocentowane równie wysoko,**

— **niskie prowizje i opłaty od operacji bankowych,**

— **możliwość wycofania części lokaty bez utraty oprocentowania,**

— **wykup wierzytelności i dyskonto faktur**

a ponadto:

— **kredyty, pożyczki, poręczenia i gwarancje bankowe,**

— **korzystną współpracę dot. efektywnych przedsięwzięć finansowych i gospodarczych.**

MYŚLISZ O PRZYSZŁOŚCI?
POWIERZ NAM SWOJE PIENIĄDZE!

Informacja w Oddziałach Operacyjnych ŁBR S.A.:

CZĘSTOCHOWA, ul. Pułaskiego 25, tel. 470-71 do 9
GDYNIA, ul. Śląska 53, tel. 20-55-01
GORZÓW WLKP., ul. Świerczewskiego 122, tel. 260-01; 742-02
KIELCE, ul. Rewolucji Październikowej 44, tel. 410-61
KROSNO, ul. Składowa 5, tel. 257-11 w. 239
KRAKÓW, ul. Grzegórzecka 10, tel. 21-08-71
LESZNO, ul. Bolesława Chrobrego 15, tel. 20-15-00
LUBLIN, ul. Wieniawska 14, tel. 242-211 do 219, w. 218
ŁOMŻA, ul. Wojska Polskiego 2, tel. 22-78
ŁÓDŹ I, ul. Piotrkowska 173, tel. 36-01-27
ŁÓDŹ II, ul. ks. Brzóski 2/24, tel. 51-32-94
PIOTRKÓW TRYB., ul. Młynarska 2, tel. 57-96
SIERADZ, ul. Ogrodowa 2a, tel. 55-79
SZCZECIN, ul. Bohaterów Warszawy 34/35, tel. 421-43
WARSZAWA, ul. Wolska 64a, tel. 32-12-24
WROCŁAW, ul. Powstańców Śląskich 28, tel. 67-07-30
BIELSKO-BIAŁA, u. Browarna 2, tel. 279-53
KATOWICE, pl. Wolności 12a, tel. 593-624
JELENIA GÓRA, ul. 22 Lipca 35, tel. 257-42
TORUŃ, ul. Nowickiego 34/36, tel. 266-32

Życzymy naszym Klientom Do siego Roku!

ZAPRASZAMY!

3892-A